



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY”
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznic rs. 8 z odnośnieniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznic rs. 10.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rekopiesy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmuje: Administracja Prawdy oraz kalendarie, książki i kantory pism periodycznych.

Sprzedżę pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. *Polityka:* Obłęd na tronie. — *Tydzień polityczny.* — *Powieści:* Oddech. — *Badania naukowe:* Ustrój społeczny u ludów pierwotnych I. — *Móg i dusza* podług Wilhelma Wundta. — *Literatura czeńska:* Wznowienie sporu o autentyczność rekopisów królów wrocławskich i zielonogórskich V. p. Jana Karłowicza. — *Literatura rosyjska:* Aleksander Ostrowski p. J. L. P. — *Literatura francuska:* L'Abbé Joseph Lemann, Edmond et Jules de Goncourt, Jules Case, Robert Case p. P. — *Teatr p. W. W.* — *Fajlelem:* Librum veto p. Poła Prawdy. — Na widnokręgu p. Nieborskiego. — *Prasa rosyjska.* — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcji. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się jako dodatek kwartalny, dokończenie **Logiki Liarda.**

POLITYKA.

OBŁĘD NA TRONIE.

Zaledwie król bawarski zamknął oczy, z życia jego rozszedła się po prasie europejskiej taka fala, jak z ciała człowieka, który długo chorował. Okazało się bowiem, że na tronie siedział wariat, któremu w gwałtowniejszych wybuchach nakładano konstytucyjny kaftan, ale który od pierwszej chwili swych rządów działał w obłądnie. Dla honoru narodowego, dla wielu zresztą innych względów trzeba w ludzi wmawiać, że ów obłęd był wypadkiem czasów ostatnich; kto wszakże zostawi obficie i bez przeszkody już dziś wyrwyjające się na swobodę szczegóły jego życia, ten obronę dra Schleisla uzna za takie same chybione mędrkowanie, jak wywody owego Niemca, przepisyjującego dramaty Shakespeare'a — Baconowi.

Już w dzieciństwie Ludwik II zdradzał chorobliwą mnię wielkości (paranoja). Doprowadzając *ad absurdum* przyszłą swą rolę (waryetowo ozięto poległa na niezlomnej konsekwencji), jako dziecko już nie pozwalał nikomu ze zwykłych śmiertelników dotykać się, tak że raz musiano użyć wielu trudów, zanim lekarz zbadał mu puls. Zostawszy królem, miewał — jak wszyscy cierpiący na zbrocenia umysłowe — stany zupełnej prawidłowości rozumu, ale nigdy nie opuszczała go mania wielkiego o sobie mniemania. Zawiedzioną miłością, upodobaniem w samotności, wreszcie artystczem tłumaczono jego różne

dziwactwa; dziś okazuje się, że one płynęły z tego samego źródła, o i szal jego brata, obecnego króla a oddawna uboższawolnionego kaleki. Logicznie rozwijając ideę swego majestatu, przełonił się obłokiem przed oczami poddanych, z po za którego wyobodził tylko dla objawienia swej woli. Mieszkania tak urządził, ażeby mógł ukazywać się nagle i zniknąć wśród złudzeń teatralnych, a nieradko dawał ministrom posłuchania niewidzialny. Sympialnia jego w jednym zamku przedstawiała kaplicę, w której na miejscen otarza stało łóżko. Ażby tem większą otoczył się tajemniczością i urokiem, występował tylko w nocy. Nigdy nie wiadano, gdzie jest i co robi, a nieraz, gdy przypuszczano, że siedzi w zamku, wracał z gór lub zawiadniał, że siedzi w oście. W kierunku romantycznej półboskości popchnęła go silnie muzyka i treść oper Wagnera, który dlażnawca fantastyknością rostrzajał umysł króla. Legendowe postaci godziły się doskonale z jego wyobrażeniami o swem nadziemskim posłannictwie. Poznawszy Lohegrina, zaprzagnął Ludwik, jak ten bohater, pływać na łabędziu. Kazał więc zrobić na dachu zamkowym basen, napełniony zabarwioną wodą, po której pływał w łódce, ciągnięjonej przez sztucznego łabędzia, dopóki się nie skapał i nie zaprzestał tej rozrywki. Zdziwiono się niepomieranie, że pomimo swych szlachetnych uosnęd, ażeby ministrów ochłostano i wylupiono im oczy, a służbę za przekroczenie akazywał na tortury, że fryzjerowi swemu czy lokajowi powierzył utworzenie nowego gabinetu; tymczasem okrucieństwo to było bardzo zrozumiałem w człowieku, który nie uważał się za człowieka i którego musiał obrażać opór ludzi — według niego i wobec niego — sobie równych, od lokaja do ministra.

Kronika tego obłędu jest tak bogata, że na poparcie go możnaby przytoczyć setki

bardzo wymownych dowodów; nie będiemy wszakże trudzići nimi uwagi czytelników, gdyż nas z oddalenia obchodzi tylko zasady i wypadki o wpływie szerszym, niż koło interesów miejscowych. Ministrowie złożyli przedstawicielom narodu cały materiał, uzasadniający odsunięcie króla od steru i powołanie regencji, żądając, ażeby akta te za pośrednictwem sprawozdań dziennikarskich nie zostały przeniesione na widok publiczny. Odgadnąć łatwo, że tu nie idzie — jak plotka utrzymuje — o zatarcie śladów „gwałtu,” popełnionego na osobie monarchy, ale o zamknięcie ust szlachej skardze na doradców korony, że wcześniej nie położyli tamy obłąkanej awawoli. Pomieszanie zmysłów Ludwika ministrowie widzieli dawno, ale bądź z obawy, bądź z poczucia korzyści, jaką im zapewniało to bezgłowie państwowe, zakrywali prawdę. Dziś więc naród, poznawszy ją, mógłby ich obciążyć wielką odpowiedzialnością za postępkę króla, i to nie tylko za marnotrawstwo, ale za spiskowanie z francuskimi Orleanami przeciwko Niemcom. Nie chcą ogółowi otworzyć drzwi podczas obrad, bo znają swoją winę.

Jeseli dla bawarów przykrą być musi myśl, że przez lat tyle podlegali rządowi wariata, to drugi wariat, zasiadający po nim na tronie, tworzy położenie rozpaczliwe. Bo uprzytomnijmy sobie tylko użecia narodu w takiej chwili, nie zapominając, że on składa przysięgę na wierność obłąkanemu i że wszystkie władze działają będą w imieniu obłąkanego. O powrocie bowiem Ottona do zdrowia nie ma już mowy: zamrze on w awojem kuracyjem węgieniu. Ominąć go przy następstwie tronu nie zdołano, gdyż konstytucya bawarska nie przewiduje takiego wypadku i nie daje odpowiedniej dyspensy. Faktycznie rządzić będzie Luipold, ale majestat królewski pozostanie na nieszczęśliwym szaleńcu.

Przykład ten jest nadzwyczaj pouczającym. Mamy przeduprzedzenie idei, ogółonej zupełnie z postaci realnej, mamy niedorzeczność legitymistyczną w całej swojej okładzie. To nie monarchizm osobowy, konkretny, ale czysto formalny. Na tronie zasiada nie człowiek, mogący źle lub dobrze sprawować rządy, ale widmo, lalka bezwładna. Wyroki i ustawy wychodzą z imienia isoty, która nie ma na nie żadnego wpływu, która nawet o nich nie wie. W łonie są do bożsensu ścisłej prawowitości wylega się jakrawa nieprawość, która nadużywa cudzego imienia, która niepytaną wolę podstawiła w ramy swej własnej, która gra bezczelną komedję. „Jego Królewską Mość Otto raczył itd.“, a jego Królewską Mość Otto nieznając nie raczy, bo siedzi w szpitalu wyartów i o niezem nie wie. Jest to niby legitymizm, a właściwie jest to błąd gwałt, bądź farsa. Czemuż nie ominąć tej obiszczony i nie powierzyć korony regentowi, zamiast nią, jak gdyby na uragowisko, ozdabiać głowę nieszcześliwego warjata? Czy on zasłużył na te błazństwa, czy one odpowiadają godności narodu? Sami wyznawcy idei nie powinni skazywać jej na taką poniewierkę i ograniczenie prawdziwie karnawałowe, zwłaszcza jeśli ją tak skompromitował przedstawiciel poprzedni. Pojmujemy część dla niej bez względu na takie lub inne wieśnienie, ale nie pojmujemy dobrowolnego pośmiewu. Obecny rząd bawarski jest wprost humorystycznym rządem z *Klingende Blätter* lub operety.

Są to wszakże uwagi, nastrożające się ze stanowiska bawarskiego. My możemy być tylko objętymi jej widzami i nie odczuwać smutku tam, gdzie go patrytyzm miejscowy odnajduje.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Działalność przedwyborcza w Anglii rozpoczęła się już w najlepsze, wybitniejsi

przewodcy ogłaszają manifesty i zwołują meetingi. Wyborcy liberalni, wbrew oczekiwaniom przeciwników billu, powszechnie prawie oświadczają się za polityką irlandzką Gladstone'a. Za wskazówkę tego usposobienia służyć mogą owe, jakich przedmiotem był ów mąż stanu w podróży swej do Edynburga. Hartingtonowi, który wraz z kilkudziesięcioma stronnikami, t. z. umiarkowanymi whigami głosił przeciwko billowi, wyborcy jego dali nagane. Irlandzcy krzątają się także i czynią, co mogą, dla złagodzenia zwycięstwa Gladstone'a. Parnell ma zresztą kłopot z oddaniem rewolucyjnym stronnikom narodo-wego, które dotychczas zachowywało się dośrodek spokojnie, oczekując na rezultaty obrad parlamentu, a obecnie znowu oświadcza, iż zamierza powrócić do „polityki dynamitowej.“ Homerulery zaś nie mogą stanowczo serwać związku z partją skrajną, ponieważ groźba powstania i odwetu dynamitowego jest i dla nich orzeł w walce, zapamięć którego spodziewają się pozyskać ustępstw i którego w ostatecznym razie sami użyją.

Austriacka Rada państwa po dwudniowych rozprawach nad cłem od nafty odrzuciła większość 6-ciu głosów wniosek Suesu, uchwalając za poprawkę Abrahama, podnoszącą cło od nafty nieoczyszczonej do 2 złr. Dwunastu posłów polskich wstrzymało się od głosowania, żeby nie rzywać solidarności z Kolem. Komicy i poniżający był widok posłów polskich, którzy podczas rozpraw nie zabierali wcale głosu, podczas gdy niemy wy-ymownie bronili interesów Galicyi. Mniejszość o to, jaki cło ostatecznie mieli centraliści, ale dla wyświetlenia sprawy nagromadziły tyle dowodów, że bojaźliwa polityka Koła polskiego staje dziś w gorszym jeszcze świetle. Dunajewskimi wprost szarżowali wspólnie z przemysłnikami, minister zaś mógł odpowiedzieć tylko, że godność własna nie pozwala mu tłumaczyć się z zarzutów. Opinia publiczna w kraju, jakkolwiek zbłaźniona i zachłanna, coraz wyraźniej oświadcza się przeciw większości Koła, dowodem tego są np. wybory w Stryju, gdzie nawet szlachta odrzuciła kandydata zachowawczego i wybrała p. Szepeński, człowieka przekonanego liberalnych, który zresztą, jako przemysłowiec naftowy, wyraźnie potępia zachowanie się Koła.

Mowa księcia bułgarskiego o zjednoczeniu narodu nie podobala się dyplomatom, bardziej jeszcze oburzają się niektórzy, że

i jednocześnie faktycznie odbywa się pospiesznie i stanowczo, bez pozwolenia Europy. Podobno nawet ze strony jednego monarcha czyniony jest na Portę nacisk, ażeby powstrzymała zapędy księcia Aleksandra, które wywołać mogą nowe zawiązania.

Trikupisowi udało się przeprowadzić reformę zbawioną dla Grecyi. Dotychczas z każdych 10,000 ludności wysyłano do parlamentu jednego przedstawiciela i z każdym rokiem zwiększała się liczba deputowanych, która obecnie doszła do 245. Teraz postanowiono zmniejszyć liczbę posłów do 150 i znieść głosowanie okręgowi, natomiast zaś zaprowadzić głosowanie z listy, zapamięć którego arduka rząd spodziewa się wykonać przepłukując i inne nadużycia, jakie działy się otwarci przy wyborach.

W Belgii miały miejsce znowu rozruchy robotnicze, które przecież nie przybrały tak groźnych rozmiarów, jak poprzednie. Wzburzenie umysłów trwa ciągle, rząd zaś nie widzi innych środków zaradczych, jak: rozwiązywanie zebrań i konfiskaty dzienników lub aresztowanie redaktorów. Postępowanie tego rodzaju rozdrażnia tylko umysły i doprowadzi w końcu do strasznego wybuchu namiętności.

Komisy senatu francuskiego oświadczyła się przeciw ustawie o wydalaniu książek, rządowi jednak udało się przeprowadzić ją w łebie wyższej, chociaż dosyć słabą większość głosów, gabinet bowiem oświadczył, iż w przeciwnym razie podaje się do dymisji.

Eszkadra francuska zajęła Nowo Hrabry w Australii. Wypły te znajdowały się dotychczas pod opieką brytancką, Anglia więc sądzi usunięcia żagló francuskiej, z Paryża zaś odpowiadają, że uczynią to chętnie, ale po wyjaśnieniu sprawy. W rezultacie nastąpi zapewne jakaś umowa, na której obie strony nie tracą.

BADANIA NAUKOWE.

USTRÓJ SPOŁECZNY U LUDÓW PIERWOTNYCH.

I.

Hypoteza Darwina, teorya Lyolla, wykopalska paleontologiczna i wykrycie co-

mu pieri ludzkiej i radości rodziców, a potem odmówiły może chleba.

Po krótkim spokoju Trinkbier znowu bał się.

Wobec wzierzości czuł się dość umocowanym na urządzie, ale od lat kilku, prócz pokory i pracy, które uważał za swój obowiązek, do dawnych dobrych kresek nie dodał żadnej świeżej zasługi wyjątkowej. O posunięciu się więc ku górze zwątpił, gdyż gazety zaczęły wykazywać konieczność usunięcia „obcych żywiołów“ z urzędowania, a towarzysze biurowy spytał go znacząco:

— Właściwie pan jesteś polakiem?

— Trinkbier — polak?

— Kiedy pan — odparł kolega — dawnie nazywał się Tryneza i dopiero od wojny...

— Przechodził mnie pułkownik Kischke — wyrzucił Trinkbier, któremu omiadały głos w gardle uwiązł. Po chwili dodał, zdobywając się na lepszą minę:

— Zaprawdę pan i o tem wiesz, że za dowcipne wybadanie chłopca francuskiego dostałem krzyż, że przyczyniłem się do zwycięstwa narodowo-liberała w Poznaniu, że...

— Wiem — zakończył niemiec — i na urodziny powinszuję panu.

Rozmowa ta, odbijającą w sobie przebiegający gazety i niewątpliwie tryskający ze ster wyższych, zaklinała Trinkbiera. Po długich domaniach doszedł on do wniosku, że swoją niemiecność musi ponownie czemś zaznaczyć — wymaga tego zarówno teraźniejsze bezpieczeństwo, jak i przyszłe awansy. Ale po jakie warunki polityczne sięgnąć może skromny urzędnik magistratu? Będzie wypierał się swego pochodzenia, spotwarzał swoich raków, śpiewał „Wacht am Rhein.“ Wyznawał „narodowo-liberalizm“? Wszystko to Trinkbier robił, przeciw widoczności nie start z siebie narodowego piętna, skoro mu je z sztyrsem wskazywano.

Przez pół roku chodził codziennie po tych samych walcach miejskich, na których kiedyś przeobraził kobiety, mogące go uszczęśliwić — i rozmyślał nad sposobami zalatania na drugie skosy narodowej wszelkich dzinok. Nurekcie pewnego wieczora stanął, jak gdyby olśniony nagle i wielkim wynalazkiem. Twarz rozpoznała musie, na usta wybiegł uśmiech, z oczu strzeliło wesołe. Była to wszakże przemiana krótka, bo natychmiast radość rozspłynęła się w pogębieniu, które ją zmylało i zamroziło cieniem wewnętrznej walki. Jak zwykle w trudnych wypadkach poszedł do żony i otworzył przed nią swo-

2)

POWIEŚĆ.

ODDECHY.

Jakkolwiek Trinkbier, otrzymawszy wyższą pensję, nie potrzebował pragnąć bezdzietności, jednakże wkrótce przekonał się, że oszczędność nieba w błogosławieniu go byłaby bardzo pożądaną.

W ciągu czterech lat dało mu ono trzech synów i chorobę żony. Panna Kinkel, która posiadała objętość znaczną i wygląd, usuwający zupełnie powody obawy o jej wytrzymałość, jako pani Trinkbier za wiedzą poniekąd nadzieję meła: zaczęła chudnąć, marań i trzeciego dziecka sama już wykiar nie mogła.

Przybyła więc mamka, wcale nieprzewidywana w budżecie domowym, a — co gorsza — przybył nowy syn, poderwawszy jeszcze mocniej zdrowie matki. Karmiono go już mlekiem krowim i w głębi serca życzyono sobie, ażeby szybko opuścił macoszą ziemię, która po urodzeniu odmówiła

raz wcześniejszych dowodów bytności człowieka — wszystko to dodało silnego bodźca pracom w kierunku zbadania praw rozwoju ludzkości i zadziergania na tle teorii rozwojowej świata organicznego również dziejów naszego rodu. Jak żył i bywał człowiek przedhistoryczny, jakimi drogami powstały i postępowywały obecne ukształtowania społeczne, jak kroczyl umysł człowieka, jak rozkwitał świat jego uczuć, pojęć etycznych i kategorii estetycznych — oto kilka pytań, coraz częściej zataczanych przez coraz liczniejsze grono meków nauki. Ukazują się prace Lubbocka, Mac Lennana, Tylera, Havelocka i t. in., a wszystkie opierają się na założeniu, że ludzkość rozwijała się w sposób „przyrodzony,” tak samo jak cały wszechświat — mocą właściwych sobie praw „naturalnych.” Wszystkie te wychodzą jeszcze z drugiego wspólnego przypuszczenia, mianowicie, że teraźniejszość ludów „dzikich” przedstawia tylko jakby zastępy i skrzepłą przeszłość obecnych szczepli „cywilizowanych.” W ogólnych swych zarysach rasy wszystkie rozpoznają się według tych samych praw — z tą jedynie różnicą, że niektóre, dzięki sprzyjającym okolicznościom (np. różnorodności geograficznej i klimatycznej, otoczenia itd.) oddawały przysłużyć się stopniem, na których wskutek warunków niedogodnych (braku np. zupełnego zwierząt oszajalnych) inne stały się nieruchome. Obecne więc ludy pierwotne dochowałyby nam przeszłość naszą, a ponieważ znajdujemy nader rozmaite fazy, stanowiące pospolity niby drabinię z niezmiernie różnymi jeszcze szczeblami najgłębszymi, mogłaby przeto spoznać się z przebiegiem rozwoju ras najwyżej posuniętych, śledząc za instytuami społecznymi, postępowem umysłowym itd. wśród różnych szczepli „dzikich” teraźniejszości. Przeszłość zatem Europy, owa wiązanka zdarzeń i zmian w tej samej miejscowości, lecz w różnym czasie zaszły, rozpociera się obecnie przed okiem naszym w różnych okolicach globu ziemskiego. Oto australijczyk maluje w swym bycie tę epokę, kiedy „europejczyk” tułał się po swym łądzie, nagi jesszo i prawie bezbranny. Nasypy kuchenne na ziemi ognistej oraz trasy życia „tubylców” owego niegospinnego archipelagu odzwierciadlają te czasy odległe, gdy wśród wysp, z których wyniła się Dania teraźniejsza, koczował dziki nasz przodek i przed szalesem rzucał gzyzkiłki nosi swych z mieczaków. Laponczycy dochowali nam obraz ludu, co przed wielu

wiekami, bo dziesiątkami wieków, pędził żywot w obecnej Francyi, przechodząc z miejsca na miejsce z swemi obłazykami stadami reniferów. Ozerownikorzy wrzeszczą byt społeczny plemion germańskich z początków ery naszej, niektórzy osiadłe plemiona murzyńskie żywem odzwierają warunki, wśród których wazowały awo życie miasta, a gmina hinduska wyjaśnia sporo ciemnych punktów z genezy feudalizmu.

Ze rozwój ludzkości postępuje jednakowo w ras wszystkich — oto punkt wyjścia dla nauki o człowieczeństwie społecznem, której nadaje miano socjologii. Odpowiednio do tego, metodą jedynie uprawnioną w tej nauce jest metoda porównawcza. Chodzi więc przedewszystkiem o zebranie materiału faktycznego, na podstawie którego szałibymy watek porównawczy, a materiał taki może być zebrany jedynie na miejscu samem, wśród szczepli różnych. Socjologia bowiem, skoro raz zgodziła się, że ludzkość bezustannie kroczy gdzieś dalej w swym bycie społecznym, że kategorie pozycja społecznej ludzi pomiędzy sobą są czasowe, względne, winna tem samem przyjąć wniosek nieunikniony, że między ustrojem ludów cywilizowanych a człowieka pierwotnego istnieje cała przepaść różnic, o której niepodobna najmniejszego powiać wyobrażenia, siedząc w czterech ścianach gabinetu, wśród studiów nad ukształtowaniem społecznem świata cywilizowanego. Podobnie jak zoolog z badań nad kręgowcem w żaden sposób nie zdola wykreślić żadnego pojęcia o budowie organizmów niższych, jakkolwiek i to i tamte wyniły się z jednego pnia wspólnego, bo tu należy wziąć pod akupel ow organizm i zbadać go bezpośrednio. Tak samo socjolog potrzebuje posiadać materiał faktyczny, któryby rysował bezpośrednią rzeczywistość ludów pierwotnych, i posiadał też go pod postacią różnych opisów podróży. Atoli, uktykując z materiału takiego, winniśmy pamiętać o różnnej różnicy, istniejącej między zbieraniem go wśród dziedziny zjawisk społecznych a jakichśb innych. Zoolog bada bez żadnych uprzedzeń, zachowuje się wobec przedmiotu swych poszukiwań obiektywnie. Inaczej dzieje się z materiałem surowym w socjologii, a nietylko z nim, lecz i z samym jego zbieraniem. Do badań nad okazem świata zwierzęcego przystępuje specjalista, przygotowany przez studia uprzednie; nie to widzimy przy rozprowadzaniu materiału surowego w nauce

o ludzkości społecznej. Przypatrzmy się bowiem, kto dostarcza przeważnie opisów ludów pierwotnych. Oto albo misjonarz, który udaje się do krajów zamorskich dla rozpowszechniania chrystianizmu i krom znajomości Biblii i obrzędów religijnych niewiadzący przygotowaniu, umobniającem mu bezstronność badania i zapewniającem zrozumienie pierwiocin cywilizacji. Przechwaja lat kilka, styka się z różnemi stronami życia tamtejszego, lecz szklą przesądów religijnych każą mu widzieć wszystko nie w przedmiotowym świetle fakty przyrodniczego, tak dobrze normalnego, jak wszelki inny objaw natury. Na urzędzenia ludów pierwotnych patrzy, jako na dowód cofnięcia się wstecz ludzkości, skutkiem cięższego na niej przekleństwa boga; więc tem samem i odoskalt obcowania społecznego szczepli dzikich nie posiada dlań cienia najmniejszego przyrodniczości, ale przeciwnie, stanowi chaotyczne i nieporządkowane zbiorowisko różnych „złąk”, „ślaw”, „różnych” odobych się od ustroju „zdrowotnego.” Zamiast zbadać naukowo stosunki pokrewieństwa lub pozycja matełskiego, już we wszystkim widzi z góry „rozpasanie;” zamiast śledzić za czynnikami rozwoju religii pierwotnych, chrzci je zaścianiem umysłu. Atoli, mimo to wszystko, misjonarz dostarcza jeszcze materiału nader wydajnego naukowo w porównaniu z opowieściami podróżników, co butelkę lub stolik zielony zamienili na awanturowanie się po obzynie dalekiej. Taki turysta przechwaja na jednym miejscu zaledwie misiegi kilka, jeśli nie krocej — bez znajomości języka, prócz kilku słów najodczinniejszego użytku, bez odpowiednich studiów na polu nauk społecznych; czyliż on może uchwycić cokolwiek więcej nad zewnętrzną oblicza ludów pierwotnych? Nad takie ochy, jak strój, zachowanie się członków plemienia pomiędzy sobą, sztonę obrzędów religii, skrupulatnie dzielenie się otrzymanymi przedmiotami, dochodzące do tego, żeśko jeden dostanie np. chustę, rozdziera ją natychmiast na setne strzępy, by każdym z pośród towarzyszy dać kawałek! Pod to ową naturę zewnętrznej, turysta radby podłożyć jakisś tłumaczenie — ale jakie! Nie w tem osłabiwego, że zaopierznie się z pośród otaczającego go za lat dziecinnych i znajomego mu dobrze świata społecznego ludów cywilizowanych. Wprowadzi kategorie królów i pańlanych, panów i niewolników, lub obwieści, że plemię przeczł oglądano

je serce. Zastał ją smutną i jessze mizerniejszą, niż zwykle.

— Wiess co — rzekł — jestem przekonany, że Pan Bóg ma do mnie jakiś żal.

— E, wątpię — odewała się kobieta, z gorzkiem uśmiechem — ja sądzę, że ma do ciebie szczególną słabość.

— Gdzie tam, moja droga, ty ciągle chorujesz, niedostatek do domu zgładza...

— Ale za to przybędzie piąte dziecko.

— Oo! — krzyknął Trinkbier, chwytając się za głowę. Nie tartujes?

— Nie, Lorenz, nie.

Oniomał, bo była to nowina niespodziewana, chociaż całkiem naturalna. Dingo chodził po pokoju, ciężko wzdychając i szarpając podbródek, narozściecał przed żoną.

— Tak — szepnął — Pan Bóg gniewa się na mnie i wskazuje mi drogę poprawy.

— Jaką? — spytała obojętne kobieta.

— Nie może on błogosławić rodziny, w której mąż modli się inaczej, a żona inaczej.

— O, nie żądam ode mnie tej ofiary — zawołała boleśnie — nie zmienię mojej religii.

— Ale ja zmienię moją — rzekł z wysiłną stanowczością.

Podala mu rękę i uściśnęła go.

— Dziękuję ci, to lepiej, daleko lepiej.

Zaczął ją całować i pieścić tak zawzięcie, że zaledwie rzewną prośbą powstrzymało go osłobienie w uwzględniających jej stan granicach.

— Zobaczysz — mówił — będziesz zdrowa, rumiana, tłusta, jak dawniej. Dzieci mamy dosyć, Bóg widzi, że więcej nam nie potrzeba. Przy jego pomocy dostanę lepszą posadę. Wtedy pojedziemy w góry szlaskie, jak cię kocham, pojedziemy. To już postanowione.

Mimo to noc spędził nie dobrze. Snu zapał nie mógł, rzucał się na łóżko, wzdychał, szeptał do siebie i dopiero nad ranem zasnął. Upłynęło dni kilka, a on nie zrobił ani jednego kroku w swem przedsięwzięciu. Bał się...

Tymczasem, idąc do biura, spotkał ojca żony, który powitał go kwaśno.

— Piękna historia — rzekł też. Słyszę, że Ludwika znowu ma zostać matką. Tobie się zdaje, że dzieci — to bułki? Tfu, do diabła.

— Trudno — bąknął niesmiato zięć — co robić.

— Oof — wrzasnął stary. Pisać urządowe papiery, pisać, pisać w dzień i w noc,

to się rozerwiesz. A kiedy już wszystko napiszesz, zacznij przepisywać.

— Bał — odparł zięć.

— Bał — powtórzył też.

Zamilkł oba.

— Mam kłopot — odezwał się Trinkbier, spuszczając oczy.

— Jessze jeden — wtęcił wzgardliwie Kinkel. Może ci się coś urodziło na boku?

— Postanowiłem zmienić wiarę i przyjąć ewangelicką?

— A to dlaczego?

— Naprawdę ciągnie mnie ku niej przekonanie, a powtór trudności służbowe. Katolik musiał być zawsze na wylocie lub wraśtać w jedno miejsce.

— Należało to czynić dawniej, bo ciągle czułem ci polakimi; jeżeli zaś zdecydowałem się dopiero teraz, nie skaca przez płot do innego ogrodu po ciuch, według swego zwyczaju, lecz jawnie i głośno, ażeby widziano i słyszano jak najszerzej i jak najwyżej. Wtedy się oplaci.

— Brak mi odwagi.

— Na rozumny krok jej nie masz, a tam, gdzieby wstrętniejszy był przystała — masz za wiele. Idź dziś do pastora, a ja tę sprawę rozetrę. Tylko słuchaj, uśmiech się, bo żadna religia nie wyżywi tyłu dzieci, ile ty ich na świat sprowadzisz.

nie znalazło jeszcze żadnej organizacji społecznej, że pogrążone jest w beznadziejny zupełny, bez pojęcia własności, bez ograniczeń obcowania plebejowy. Wprawdzie, z powodzi tej misyonarzędów i awanturników należałoby wyróżnić ludzi wiedzy ścisłej, co udają się w imię celów naukowych. Jednakże są to albo przyrodnicy (Darwin, Wallace), którym zgola nie chodzi o pracę w naszym kierunku, lub też zbyt krótko bawią, by mogli zapoznać się należycie z bytem społecznym człowieka dzikiego (Bastian).

Weobec tego wszystkiego nagromadza się obfity wprawdzie, lecz zafalszowany materiał faktyczny, obok trafnych spostrzeżeń szczegółowych zawierający niezmierzoną domieszkę subiektywną człowieka z cywilizacji europejskiej, pełen sprzeczności i bez planu zbierany. I to z takiego to właśnie materiału korzystają uczeni europejscy, swe studia socjologiczne prowadzący w ostreżach sianach gabinetu, którzy doświadczenie i badanie bezpośrednie zastępują wyciągami z opisów podróży lub, co lepsza, kazań to czynią sekretarzom, bez poznamienia się osobistego z całością źródła, według modły z góry powziętych poglądów — z takiego to materiału, powtarzamy, i w taki a nie inny sposób uczeni europejscy piszą dzieła kultury i historyj naturalne rodu ludzkiego, swe socjologie i antropologie. Nie dziw, że wnoszą się okazałe grmachy, gdzie wszystko w drobniaczku nawet wyrachowane i obliczone; lecz cóż — koniec koncem okazuje się? Wszak na podstawie takiej nie trwałego nie zbudujesz, nie, choć odzwierciedlało rzeczywistość. A cóż dopiero gdy socjolog taki napotka na sprzeczności w materiale! Teoryjkę lata teoryjką byłoby rozplątać trudności. Czasami znajduje się umysł bystrzejszy, co z po za oddzielnych szczegółów dojrz niedostateczną dla innych prawdę, przebiego powłokę atmosfery europejskiej, reuci nowo rozwiązanej, lecz wreszcie i on ulegnie z braku nieopłaconego materiału. Nie ma się czemu dziwić, że takto budowy sztuczne socjologii gabinetowej nie większej są ilości trwałości nad domki z kart, że powołał się zdoła pierwszy lepszy powiew silniejszy — który to powiew, rzecz oczywista, nie mógł się rodzić w Europie, gdyż dla rzetelnego odzworowania bytu społecznego ludów pierwotnych wypadłoby badaczowi zetknąć się z nimi bezpośrednio, a nie poszukiwać w ksiązkach, wśród podróbnionych opowieści podrózników. Rowolnuya wyszła,

bo wyjść musiała z po za Europy, z pośród badaczy, którzy jak amerykański Morgan, w pelnym ryśunkunku wykształcenia fachowego, zagrzebali się na miejscu przez cale lat dziesiątki wśród ludu nieucywilizowanego, nie przerywając atoli związków z światem naukowym i pilnie śledząc za postępami wiedzy. Co do naszej części świata, to poszerzyć się może zaledwie jednym Mainem, który czas nieco dłuższy studyował rolą gminu hindusów na miejscu — nikogo pono więcej. Pracę Maina, zaczęli prowadzić w Australii Howitt i Pison, w Indjach zaś przedgangosowych różne miejscowe towarzystwa antropologiczne. Nijakiż znów Colenso, człowiek co wychował, wyrósł i zaształ się w Nowej Zelandyi, czyni to dla maoriów, itd. I to z pod badań tych ukazuje się uludów pierwotnych zwarty i spójny ustrój społeczny, o którym nie śniło się uczonym gabinetowcom Europy. Zamiast „jednolitego, chaotycznego a nieopowianego zbioru wiska” — jak określa społeczeństwa pierwotne Spencer — wychyla swą głowę nader spojone i uporządkowane ukształtowanie społeczne — z tą różnicą, że zasady porządku onego i powiąsania na innych społeczywaj podstawach, aniżeli w Europie. Wyrósł na obiecującym gruncie studyów bezpośrednich zamorskich wiedza socjologiczna Morganów, Howittów, Maina — bezlitośnie zwala gabinetowe gadki socjologii europejskiej. Radziłbywn wiać do ręki *Stare społeczeństwo* * Morgana a wszystkieśsz części wraz z *Wstępem* — *Socjologii* Spencera, a różnica cała obuch tych sposobów pisania, jednego wśród szalun ludów pierwotnych, na zasadzie długich a bezpośrednich studyów, drugiego znów w londyńskim gabinecie, przy pomocy sekretarza i według z góry powziętych uprzedzeń, odrazu rzuca się już w oczy.

Obecnie do dzieł, pisanych na zasadzie bezpośrednich a długoletnich studyów, przybyła nowa książka, która czas nie do końca poziomu filozoficznej tkanki prac socjologii ponownawczej, gdyż nosi na sobie cechy monografi, obejmującej tylko jedną nadną drobna grupę ludzkości, zwłaszcza, co do zawartego materiału surowego, znaczną posiada wartość. O wartości tej może dać pojęcie choćby ta okoliczność, że autor — polak, J. Kubary — już przed laty dziesięciu zapoznawać się zaczął ze

szczępem, o którym opowiada, że zbadał mowę jego, zył się z jego życiem. Książka napisana na miejscu studyów nosi tytuł „*Stosunki społeczne pelauczyków*” *Die sozialen Einrichtungen der Pelauer* i stanowi dopiero część pierwszą, zresztą zupełnie zakonczoną całego szeregu prac, mających zaznajomić nas z bytem wyspiarzy Mikronezyi.

Zanim skrócimy rezultaty pracy Kubarego, winniamy zwrócić uwagę na punkt jeden. Lubo rodak nasz znajduje się, jak widać z przedmowy do jego dzieła, w stosunkach z naukowym światem antropologów niemieckich, nie-nawet sam precieży wyniki prac socjologów zamorskich w języku angielackim (Morgana, Howitta itd.). Zdarza się zatem, że prace, jakie odbyły wszyscy ci badacze przy wyzwalaniu się od poglądów nauki gabinetowej, musi przedsiębrać i nasz podróznik. Wskutek tego wiele punktów, zupełnie wyjaśnionych przez Morgana, pozostaje ciemnymi dla p. Kubarego, tak, iż kto zna dzieła amerykanina, a czyta obecnie książkę o ustrój społeczny pelauczyków, musi zauważyć tę stratę, jaką ponosi ona wskutek tego. Mimo to wszystko, mimo swą niezupełność w punktach jednych, nieznamość materiału porównawczego w drugich, książka ta służy za nowe potwierdzenie wniosków, wprowadzonych do socjologii przez badaczów zamorskich — z niejakiim nowym a pociągającym przykładem. Ze tak rzecz się ma, posiadamy dowód jaskrawy. Mianowicie, prace nowsze na polu socjologicznym wykazywały, co pomiędzy rozmaitemi stronami pojęcia społecznego: organizacją polityczną, kategoriami ekonomicznymi, systemami pojęć religijnych i etycznych zachodzi ścisła zależność form — zupełnie jak w zjawiskach wyrustu (korelacji) wśród świata zwierzęcego. Co więcej, poczyniono już nader udatno próby uobczywania tej zależności, tak, iż skoro w swem ręku mamy kilka faktów i zjawisk społecznych, z nich możemy odgadnąć i odzworować całokształt społeczny — rozumie się w zarysach najogólniejszych. Opierając się na tych poszukiwaniach i wypływających stąd wnioskach, prof. Ziber w dziele swem: *O stosunkach ekonomicznych u ludów pierwotnych*, potrzebną posiadał nieśfalszowany materiał, wiać się do oczyszczenia go z domieszek subiektywizmu podrózników — porównywał z sobą opowiadania różnych lub różne punkty opowieści tego samego wędrowca i na zasadzie istnienia jednych

*) Książka ta wkrótce wyjdzie w polskiem tłumaczeniu, nakładem *Francy. Red.*

I stary, który jeszcze przed trzema laty pomógł swoje potomstwo a miał go tyle, że córke tylko pocięwym wspierał, podał ku domowi.

Wkrótce odbyło się bardzo nrocyste przejście Trinkbiera na łono kościoła protestanckiego wobec niayszych i paru wyższych urzędników magistratu. W miejscowej gazecie niemieckiej zapisano ten wypadek z odpowiednią pochwałą i morałem politycznym. Ponieważ zaś nawróconego nazwano szlachcikiem polskim, dzienniki polskie wyparły go się aż do najdalszych przodków, twierdząc, że herbarz nasze takiny szlachcica nie znają, bo obejmują rodziny młodsze, Starego Zakonu swym początkiem nieciągają.

Trinkbierowi sprawili ten wywód wielką przykrość, a nawet przez chwilę jak gdyby zawrzała w nim krew Tryncy. Ochłodził ją strachem, który zatrzął nim tem silniej, że tegoż dnia ogłoszony został rozkaz wygnania z Prus osób polskiego pochodzenia i obcego poddaństwa.

Nie odrazu, ale rachuba jego sprawdziła się: piąte dziecko przybyło łącznie z wiadomością o nominacji ojca na referenta. Wolalbó on w swej bibliotece rodzicielskiej nie mieć tego piątego tomu, postawił go jednak obok innych bez guiewu, bo otrzymał w pięknej oprawie. Tylko zo-

stawiać sam wieczorem, po całodziennych wazarszeniach, gdy ogarnął wszystkie wypadki swego życia, gdy rozłożył przed sobą we wspaniałych obrazach rozkosze nowej 800 talarowej pensyi, gdy pomyślał, że oszczędzał musi żonę chorowitą, prawie żałował, że nie polubił bezdzietnej wdowy.

Nazajutrz o zwykłej godzinie poszedł do biura, gdzie spodziewał się znaleźć urzędowe potwierdzenie radosnej nowiny, o której dotąd wiedział tylko prywatnie. Jakoż zaledwie usiadł przy stoliku i zaczął oddychać uczuciem świeżej godności, posłano go do prezydenta, za którym kiedyś tak namietnie głosował i agitował przy wyborze na posła do parlamentu, a który mimo to budził w nim zawsze szczególną bojaźń surowością i dągnięciem do nadania aktówi urzędniczemu „jednolitości.” Narodowo-liberałom Trinkbier, jak i jego zwierzchnik, był, ale drżał ciągle, czy go nie „znuć polakiem.” Prezydent przytulił go wyniośle, ale łaskawie:

— Wieszę panu awansu, który uważam za dawno zasłużony.

— Tem przyznominajom on jest dla mnie — rzekł Trinkbier.

— Wprawdzie nominacja pańska jeszcze nie nadeszła, ale jest ona już przez ministra postanowiona. Odbierzesz ją pan wkrótce, musisz tylko zrobić male wyju-

śnienie. Mianowicie w aktach służby występujesz pan dwuosobowo: z początku nazywasz się Tryncza polak, katolik, potem Trinkbier, niemiec, ewangelik. Otóż wytlomacz pan to i uzasadnij piśmiennie pod moim adresem, powoławszy się na odpowiednio dowody, a ja prześlę ministrowi.

Trinkbierowi wazarszumiło w uszach, mroziło, zaczęło mu biegać przed oczami, milczał.

— Gdzie pan się urodziłeś? — spytał prezydent, biorąc do ręki ółówek.

— W Kaliszu.

— Byłeś poddanym rosyjskim?

— Tak.

— Przybyłeś do Poznania w r. 1864?

— Tak.

— Bez paszportu?

— Byłem wówczas małym chłopcem, nie pamiętam więc, czy ojciec mój posiadał paszport.

Następnie prezydent, notując ciągle, badał go do dalsze koleje, dotyczące przemiany nazwiska i wyznania, zawarcia małżeństwa, przekonano politycznych itd. Trinkbier, znużony się w drugim okresie swego życia, odczekał swobodnie, mówił śmiejąc i obszerniej.

— Byłeś pan łaskaw — rzekł zwierzchnik grzeźnio — objaśnić mi nie tak szcze-

faktów wykazywał bezasadność innych twierdzeń. Między innymi potraça też o opowiadania podróżników co do Mikro-nozyi wogóle, a wysp Pelau w szczególności. Jeśli wiemiemy *Antropologię* Waitza, jedno z krytyczniejszych opracowań surowego materiału, otrzymamy co następuje. Naskikowawczy w ogólnych zarysach nstawę społeczną mikroezycyzyków, opowiada on o pelauczykach: „Również i na wyspach Pelau, obok *dziedzielnicy* *szlachty*, znajdował się jeszcze *król*, do którego należały grunta wszystkie, i po którym dziedziczo *tak samo*, jak niegdyś na wyspach Maryniskich” (t. j. w linii żeńskiej — tom V, część II, str. 115). Ziher, wychodząc z poszczególnych faktów, o których mówić nie będziemy, w wszystkich podobnych razach sprostował „króla” na starszego w rodzie, owo posiadanie wyłącznie gruntów przez króla wyjaśni inaczej, mianowicie, że należały one do rodu całego jako własność zbiorowa, a starszy w rodzie rozporządzał nią jedynie w jego imieniu.

Praca Kubarego dostarcza więc poniekąd kamienia potrzebnego dla poprawek Zihera, i cóż widzimy? Oto znalazły one aż do szczegółów najdrobniejszych potwierdzenie. Dowiedziono raz jeszcze, ilefałszyw i błędów zawiera gabinetowa wiedza socjologiczna, nawet w tak krytycznej już postaci, jak *Antropologia* Waitza; praca naszego rodaka stanowi więc ważny przyczynek w walce owej, jaką prowadzą przeciw nauce gabinetowej zamorskie teory, na bezpośredniej obserwacji zbudowane.

Przejdźmy atoli do sprawozdania z rezultatów, jakie przynosi nam książka Kubarego.

(D. a. n.).

MÓZG I DUSZA

podług
Wilhelma Wundta.

Jak w historii narodów, tak też i w działach wiedzy ludzkiej niespodziewano podwódnienie przewyższa czasem wszelką śmiałość oczekiwań i pozwala rozsądzić się złudnej nadziei. Czas późniejszy obchodził zapaly i sprowadza rozczarowanie. W działach psychologii okresem takich młodzieńszych uniesień był wiek XVII. Świete

gółowo, że dla uniknięcia, przewlekli sam odpowiedź ministrowi i psn nie potrzebniesz pisać osobnego przedstawienia rzeczy.

Ukłonit się.

I wrodzona lekkość i raczywista ważność sprawy dodawały każdemu wyrazowi prezydenta takiej mocy, że Triinkbier wyszedł od niego prawie bezprzytomny. Wobec wydanego niedawno rozkazu przeciwko polakom nie mógł on naturalnie cieszyc się z wywołania widm przeszłości; z drugiej strony znał cenę swoich poświęceń i dowodów wierności, wreszcie prezydent oświadczył, że „dla uniknięcia prawłoki” sam jego życiorys opisz, więc ma dla niego żywiołowo. Ile razy biadokowi zamienia się głowa jednym słowem zwierzenia, natychmiast rozjaśniała się drugiem. W duszy kolejno świeciło mu słońce, zbierały się chmury, przelatwały błyskawice i buchały gromy.

Rozbity i ani wpatpici, nie przypuszczając swych niepewny, wesełd na dół do biura i wszystkie wie smutki wydobyl przed rannym kołosa, który go zburażoat.

— Nie bądżże trwoliwja baba, która ciagle strachy widzi. Jesteś niemcem, ewangielikiem, zapisanym do ksiąg ludności stołci, znanoczył się, cóż cię spokoat może?

odkrycia Kopernika w astronomii, Galileusza w mechanice, Harveya w fizyologii upoważniły wielu do przypuszczeń, że i ciało zwierzęce niezem innem nie jest, jak tylko samodzielnie poruszającą się machina, której działanie prosta mechanika potrafi wyjaśnić.

Ten kierunek epoki uwydatnił się najwyraźniej i najlepiej w filozofii Kartezjusza. Jego systemat natury wszystkie tłumaczył i wytłumak, nie pozostawiając nigdzie cienia wątpliwości; ale najbardziej dojrzałym plodem całego systemu była jego nauka o stosunku pomiędzy mózgiem i duszą. Nauka ta, która przeczyła wszystkim innym części filozofii, stosowała się w kilku wyrazach. Dusza, będąca sama istotą bezprzezienną, zajmuje w mózgu pewne siedlisko, gdzie podlega wpływowi ciała i oddziaływa na nie z kolei.

Charakter dogmatycznej pewności cechował też część poglądów Kartezjusza tak jak i wszystkie inne; dziś jednak, kiedy badania mikroskopowe znacznie rozszerzyły zakres odnośnej wiedzy ludzkiej, możemy już z większą ścisłością odpowiedzieć na pytanie: czy i o ile mamy prawo utrzymać się na stanowisku wyżej sformułowanego poglądu.

Odpowiedź poprzedzić trzeba zarysem rozwoju fizjologii mózgu od czasów owej mechanicznej filozofii natury do dni dzisiejszych. W mózgu — podług Descartesa — jednoczyły się wszystkie nerwy ruchu i czucia. W tych ostatnich ruchy pewnej im właściwej substancji wywoływały wrażenia, doprowadzając je do t. zw. jam mózgowych, wypełnionych również ową substancją. Jamy w bezpośrednim znów nadsiedziały się z związku z materjalnem siedliskiem duszy — gruczołom szyszakowym. Takie naczelne stanowisko zajęło gruczołowi nie tylko jego sąsiadstwo z jamami (zbiorniki owej substancji), ale i taktolność, że był on w mózgu jedynym narządem nieparzystym. Z wrażeń nerwów dusza wyrabiała sobie wyobrażenia, za pośrednictwem zaś woli przesyłała rozkazy nerwom ruchu. Inne czynniki duchowe tłomaczyło się w sposób podobny: ruchy nerwów, idących do mózgu od serca, powodowały wzruszenia itd. Gdy w której z tych spraw organizmum nie uczestniczył gruczoł szyszakowy, mieliśmy wówczas ruchy bezwiedne, czyli t. zw. działy odruch. Późniejsi materialali francuscy mogli więc do pewnego stopnia powoływać się na proca dzisiejszego spirytmizmu.

— Mnie wszystko zło się cępiat.

Rozmowa ta ściągająca do nich drugiego urzędnika, który już raz znałczago wymówił Triinkbierowi obco pochodzenie. Nie wtrącał on się wszakże, tylko gwizdał. Gwizdanie to kłuto strapionego.

— Szkoda — rzekł do przyjaciela — że prezydent nie pozwolił mi samemu nadsiedzieć wyjaśnienia.

— Ależ on to lepiej zrobi o ciębie. Bądź spokojny, pamięta twoje usługi przy wyborach a jako narodowo-liberał popodprze cię całemi plecami.

W tej chwili niemy świadek zgwizdał tak przeraźliwie, że Triinkbier aż drgnął.

Usiadł przy dawnym swym stoliku i zaczął pracować. Z drugiego pokoju dolości go jeszcze kilkakrotnie ciche gwizdanie, potem śmiech, który mu się nie podobał, a potem już tylko słychać było skrzypienie posuwających po papierze piór.

Czasem Triinkbier głęboko odetchnął.

(D. n.).

Dualistyczna hipoteza Kartezjusza przez cały wiek XVIII była panującą. Nie zwalczyły jej nawet ironiczne wytyczki Kanta. Znamiennym uczonym niemiecki, Chrystyan Wolff — w psychologii był również wyznawcą owego dualizmu. Od Kartezjusza różnił się on tem tylko, iż, nie uznając takiej jak tamten jednocii lub jednolitości duszy, rozczłonkował ją na t. zw. „władze duchowe” (rozum, żąda itp.). Wpływ Wolffa w fizjologii do dziś dnia prawie uczuwać się daje. Porzuciliśmy dawno spory o siedlisko duszy, niektórzy z fizjologów szukają jeszcze obecnie siedliska jej „władz” rozmatowych; wskazują więc, gdzie ma przebywać wyobrażenia, gdzie rozum itp.

Uzupełnieniem tych poglądów była wyaleziona przez Gall'a w początkach bieżącego stulecia nauka frenologii, według której — jak wiadomo — zewnętrzne nierówności czaszki miały być odzwierciedleniem wydatnych lub wklęsłych okolic mózgu. W twierdzeniu tem tkwi błąd zasadniczy: rozwój czaszki przynajmniej tyleż wpływa na ukształtowanie się zewnętrzne mózgowia, ile sam wpływowi jego podlega. Żądza zbadania tajemnic naszej istoty duchowej była jednak tak wielką, że nawet filozof tej miary, co August Comte — powierzyłwzy frenologom przyszłość psychologii, wynuaua w awym pantoonie Gallowi miejsce obok Kanta..

Po okresie błędnych przypuszczeń i rozumowań nastąpiła w nauce epoka badań ścisłościowych. We Francji, w pierwszym i drugim deścielciu naszego wieku, na czole tych badań widziamy znakomitego fizjologa i anatoma Flourens'a. Dzięki wiawisekcyom żdolat on doświ, iż podrzędne części mózgowia (mózdzek, rdzeń przedmózgowy itp.) żadnego udziału w sprawach duchowych nie biorą, kierują zaś tylko czynnościami ciała (oddychanie, ruchy mimowolne itd.), że natomiast „inteligencja i wola” siedlisko swe mają w półkulach wielkiego mózgu, gdzie poszczególne zdolności nie są bynajmniej umiejscowione w duchu teoryi Gall'a, lecz równomiernie w masie półkuł rozsiane.

Hypoteza Flourens'a panowała w nauce do połowy bieżącego stulecia. Wcześniej jednak na poważne nabrała zarzut. Zauważono np., iż w pewnych wypadkach choroby, lub uszkodzenia mózgu, chorzy tracili zdolność mowy członkowej, gdy tymczasem mięśnie, służące do wymawiania wyrazów, pozostawały nieuszkodzonymi. Pacjent wyminąć mógł każdy dźwięk pojedynczy, ale ani wyrazów niekładał, ani ich rozumieć nie był w stanie. Z drugiej now strony badania mikroskopowe rzuciły całkiem niespodziewane światło na wewnętrzzą budowę mózgu. Badano uważnie przebieg włókien nerwowych od rdzenia pancerzowego aż do mózgu i znaleziono, że tak włókna ruchu, jak czucia, kończą się w rozmatych okolicach mózgu, że dalej i nerwy różnych smysłów szczególnych np. wzroku i słuchu, również w rozmatych miejscach zakończenia swe mają. Niepodobna więc było przypuścić, żeby wszystkie owe okolice mogły jednak rolę w naszej działalności duchowej odgrywać. Ponieważ jednak najprostszymi pierwiastkami naszej umysłowości są wrażenia i wyobrażenia, związane z działalnością takich lub innych nerwów, przeto — twierdzono dalej, jedynie o umiejscowieniu owych wrażeń i wyobrażeń, nie zaś o lokalizacji „władz” umysłowych mowa być może; innemi słowy: czynność umysłu w rozmatych okolicach mózgu musi być rżnienno jednaką, rozmatniami zaś są tylko wrażenia i wyobrażenia, zapomocą których umysł nasz operuje.

Na korzyść umiejscowienia pewnych czynności oświadcza się badania wielu uczonych. Przed laty dwudziest, Hitzig w Niemczech i Ferriar w Anglii wykazywali, że drażnię elektrycznością pewne określone okolice kory mózgowej, wywo-

lujemy stale i niezawodnie ruchy i skurcz pewnych określonych części ciała, np. nog, rąk, warg, palców itp. Przedtem jeszcze wyniki fizjologii, anatomii i patologii, później zaś badania embryologiczne wnioskiem tym dostarczyły poparcia. Nie wynika stąd jednak, że owe okolice mózgu są siedliskiem woli.

Co do umiejscowienia wrażeń zmysłowych, to wnioskowi badaczów mniejszą odznaczają się zgodnością. I tutaj wszakże drogą doświadczeń fizjologicznych i spostrzeżeń z zakresu patologii zdołano wykazać, iż utrata niektórych narządów (oko) powoduje zanik odpowiedniej części mózgu i że naodwrot: po zniesieniu takiej części, narząd przestaje wykonywać swą czynność. Dla psychologów obętną jest rzeczta, gdzie mianowicie umiejscowione są np. wrażenia wzroku, słuchu itp.; ważnym zaś pozostaje wniosek ogólny, do jakiego upowiadają wszystkie owe doświadczenia. Okazuje się z nich, że jak nie można odnależć w mózgu jakiegos jednego punktu, któryby zarządzał wszystkimi częściami ciała, w którym mieszczałby się kontrola wszystkich ruchów i wrażeń, tak też niepodobna przypuścić, że zdolność wykonywania najrozmaitszych czynności jest równomiernie po całym mózgu rozłożona. Przeciwnie: wnosić wolno, że każdemu zmysłowi, każdej grupie mięśni, a nawet mięśniom poszczególnym odpowiadają w mózgu jakieś ośrodki kierownicze; że dalej — każda czynność złożona jest sumą działań złożonej grupy takich ośrodków, że jednym słowem, podział pracy jest tak do brzo podstawą działania zewnętrznych części naszego ciała, jak i zasadniczym warunkiem działalności mózgowia.

W porównie z wnioskami tymi sprzeczności pozostają chorobne objawy utraty mowy, związane z utratą niektórych okolic mózgu. Zdawać się tu może, iż okolice takie są jakby siedliskiem jakiejś szczególnej „władzy” naszego ducha. Jeżeli jednak przypomni sobie, że zdolność mowy zależna jest od sprawnego działania pewnych mięśni, to zjawisko powyższe do właściwych sprowadzić się granic. Żadna prosta, jednolita „zdolność mowy” nie istnieje, nie ma też ona w mózgu swego wyłącznego organu; natomiast zdolność ta, jako wypadkowa wielu prostszych czynności ustroju, może zniknąć w nas po usunięciu ośrodków, odpowiadających owym czynnościom.

Drugim faktem, przemawiającym jak gdyby na niekorzyść teorii umiejscowienia, jest powszechnie znane zjawisko po-wolnego odzyskiwania „władzy” i zdolności, pomimo braku odpowiednich, usuniętych z mózgu ośrodków. Fakt ten jednak — dowodzi tylko, iż umiejscowienie nie ma w sobie nie bezwzględne, a jednocześnie przekonywa ono raz jeszcze, iż czynności złożone są wynikiem zkojarzenia się prostszych procesów, gdyż w takim tylko wypadku możliwem jest ową zastępowanie części nieobecnych przez inne.

Umiejscowienie czynności mózgu równa się, według niektórych, umiejscowieniu wyobrażeń i wrażeń. Pogląd taki groziły jednak temu, iż procesom umysłowym przypisywać jakieś istnienie przedmiotowe. Z drugiego wazkiego strony zwolennicy tej hipotezy mają słusność o tyle, o ile przypuszczają, iż wszelki akt woli, wszelkie wyobrażenia oddziałują na mózg nasz w taki sposób, że czynią umysł skłonniejszym do wznowienia takich samych aktów woli i wyobrażeń. Nie należy tylko przypuszczać, iż czynność komórek mózgu pozostaje w związku przyczynowym z działalnością umysłu, że mianowicie proces mózgowy jest przyczyną, wyobrażenie zaś skutkiem. Taką zależność możliwą byłaby tylko pomiędzy dwoma zjawiskami — jednorodnymi, czyli współmiernymi, z których pierwsze mogłoby być równo-

ważnikiem drugiego. Tymczasem o takim stosunku pomiędzy wyobrażeniem i procesem mózgowym — zdaniem Wundta — mowy być nie może, gdyż wszędzie, gdziekolwiek przyczyna cielesna wywołuje skutek duchowy, wszędzie podkopana jest fizyczna zasada zachowania energii. W zjawiskach fizycznych pewna ilość ciepła np. wywołuje odpowiednią, równoważną ilość ruchu; tutaj zaś oprócz takiegoż skutku fizycznego — fizyczna przyczyna wywołuje nadto jakiś skutek duchowy np. wyobrażenie. tj. skutki nie równoważą już, lecz przeważają przyczynę. Fakt taki przeczy fizycznej zasadzie zachowania energii. Można więc tu mówić tylko o pewnej odpowiedzialności zjawisk, o pewnej ich równoległości. Pojedyncze ogniwka każdego z dwóch powyższych szeregów zjawisk wiążą się ze sobą stosunkiem przyczynowości, ale dlatego właśnie niepodobna mówić o takim samym stosunku pomiędzy ogniwkami dwóch różnych szeregów. Niepodobniostwo jest tu większe, iż nawet o istocie fizjologicznych procesów mózgu nie nie wiemy. Można też sądzić o nich tylko przez analogię, porównując je z czynnością narządów zmysłowych. Procesy np. w ośrodkowym organie wzroku zmieniają się zapewne tak samo, jak obrazy na siatkówce. Znaczący tu trzeba jednak dwie ważne różnice. Naprzód organy zewnętrzne nie odcisną się następstwem innych narządów w tej mierze, w jakiej się to spotyka wśród organów wewnętrznych, po usunięciu lub uszkodzeniu jednego z nich. Powtórne eweniesie i wprawa posiada dla organów wewnętrznych daleko większe znaczenie, niż dla zewnętrznych — tak, że czynność ośrodków — zrazu możliwa tylko pod działaniem bodźców zewnętrznych — później zjawia się całkiem samodzielną, spontanicznie. Widoczne jest, iż ponownemu ukazaniu się wyobrażenia towarzyszyć musi również i ów proces mózgowy, którego pierwotną przyczyną było wrazenie zewnętrzne.

Tutaj właśnie — podług Wundta — kończy się musi rola fizjologii, jako tłumacza zjawisk psychologicznych. Wyobrażenia niemożliwymi są bez procesów fizjologicznych mózgu; najbardziej odierwane pojęcie naszego umysłu niemożliwem jest bez wyobrażeń; ale działalność duchowa nie polega jedynie na wyrobieniu wyobrażeń z surowego materiału wrażeń zmysłowych, lecz nadto i głównie na kształtowaniu i kojarzeniu tychże wyobrażeń. Gdybyśmy nawet znali sprawę umiejscowienia wyobrażeń o wiele lepiej, niż w stanie wiedzy obecnym, to i wówczas pozostałoby nierozwiązane dawne zagadnienie metafizyków: „gdzie jest siedlisko duszy?” Postaramy się więc tylko zobaczyć, o ile pytanie powyższe wogóle zadawanem być może.

Wundt przypuszcza, iż właśnie w samem pytaniu owem tkwi błąd zasadniczy. Polega on na pomieszaniu ze sobą dwóch różnych punktów widzenia, z których na istotę zjawisk zapatrywać się można.

Wszystko, cokolwiek zawiera w sobie nasza świadomość jest wynikiem albo wewnętrznego, albo zewnętrznego doświadczenia. O pierwszym może filozoficzna teoria poznawania, o drugim przyrodoznawstwo. Metafizyk, pragnący rozstrzygnąć pytanie o siedlisku duszy, nie uwzględnił właśnie różnicy pomiędzy tymi dwoma punktami widzenia. O ile, mówiąc o duszy, będziemy mieli na uwadze doświadczenia zewnętrzne, o tyle można będzie myśleć o jakimś umiejscowieniu. Umiejscowienie to dotyczy wazakże nie spraw duchowych, lecz towarzyszących im pewnych procesów fizjologicznych. Podsieliskiem tych procesów, niezbędnych dla rozwoju naszego ducha, jest cały organizm. Jeżeli jednak z pojęciem duszy łączymy będziemy tylko treść naszej świadomości wewnętrznej, to umiejscowienie jej

okaże się niemożliwem. Miejsce jakieś w przestrzeni zajmować mogą tylko procesy fizyczne.

LITERATURA I SZTUKA.

Literatura czeska.

Wznowienie sporu o autentyczności rękopisów królów-worskiego i zielonogórskiego.

V.

Z licznego szeregu nowych tego autora zarzutów przeciwko mówię rękopisów, podniosę tu jeden, dość zajmujący; dawno już go przedtem sformułowano, lecz dotychczas nie potrafiono obalić. W trzech miejscach obu rękopisów czytamy wyraz *plany* (w różnych postaciach) w znaczeniu pożyteczny. Jest to oczywisty barbarizm, który, zdaniem mojem, sam jendeny wystarczy do zdemaskowania fałszu. Oczywiście autor rękopisów brakło wyrazu na pojęcie *nitálních*, siegnął więc do języka rosyjskiego i po krótkim namyśle, przerobili *plany* na *plany*, mając zapewne w myśli i uchu nazwę miasta czeskiego *Plesk* (Pilzno), a w sumieniu, na pociechę, starosławiański *polosa* (korzyść). Zdawało się im, że jeżeli rosyjskim *plany*, toks odpowiednia czeskie *plany*, *elk*, to i *plany* będzie czyste czeskie *plany*. Ale zapomnieli o tem, że *plany* jest słowem złożonym z *po* i wyrazu, który mamy w dawnej polszczyźnie w złożeniu z *nie*: *wieles*, *niedla* (ros. *niebela*); że owo po nie traci swego o rigu w czeszczyźnie; że więc, gdyby w staroczeszczyźnie istniał podobny wyraz, toby brzmiał *plany*, nigdy *plany*.

P. Opatry podaje paralele wyrazów rękopisów z przekładem czeskim poematu łacińskiego o Aleksandrze macedońskim, czyli tak zwaną *Alexandriadę*. Dato tu oczywistych zapożyczeń; szczególnież uderzającym jest podobieństwo prawie dosłowne jednego wiersza; brzmi on w *Alexandriadzie*:

jakto mbla biesze ot prachu,

a w Jarosławie (w. 247):

podvihaje se mbla oto pracha,
z tą tylko różnicą, że w oryginalu jest on stosownym, a w Jarosławie niewłaściwym, bo mowa tu jest o „angie powstałej z kurawy” zaraz po ogromnej ulewie, spowodowanej cudem Najświętszej Panny.

W dalszym ciągu dwaj autorowie podają artykuły dziejowo-pamiętnicowe, w których dowodzą, że ze stanowiska historii literatury czeskiej powstanie utworów, w rodzaju rękopisów nas zajmujących, jest bezwarunkowo niemożliwem w wiekach średnich.

P. Kraus opisuje, jako ciekawy przyczynek do sporów obecných, dzieło podobnie niemieckiej pieśni nad kolebką, na którą dalsi się słowid lat temu osterdziesi najlepszych paleografów i germanistów, nie wymyślając Jakuba Grimma.

Profesor Jagić nigdy nie wierzył w autentyczność w mowie badanych rękopisów; nie tał się z tem, pisał o tem często przy sposobności, wyrażając do coraz głębszych studiów nad gramatyką czeską, do ponownego zbadania zabytków pod względem paleograficznym i do spokojnego traktowania sprawy. W tomie V swojego *Archivum* (str. 175 i nast.) wakał *jak pro quo* co do Nowogrodu w Jarosławie (w. 88); w tomie VI (str. 308) pisał o sporze wogóle; „treba być cierpliwym, ań nim się nie uspokoi stare namietności i zanim znajomość starej czeszczyzny nie uszły większych postępów. Rękopis królów-worski, chociaż napisanie jego przyniesie wypadnie z w. XIV do XIX, zajmować będzie zaszczytne, słuszenie mu w literaturze należącej się miejsce — treba to powiedzić

da niepokojenia tych, którzy się obawiają z nim rozstać."

Obecnie, w ostatnim (drugim) zeszyście tomu IX *Archivum* rozwodzi się obszernie nad wznowieniem sporów, zatyłtawazwy notatkę swoją: "Filologia i patrytyzm." Przypomina czasy dawniejsze, kiedy Szafarżyk gromił Miklosicha za niedowiarstwo w rękojpi królówdoworaki, kiedy w niem upatrywano nie już wątpliwości naukowej, ale nieprzejrzałość dla narodu czeskiego. Opowiada pokrótce przebieg kontrowersyj w końcu szesnastego dziesiątka lat i tłumaczy, dlaczego zboczenia językowe rękojpi są tak mało dawniej razily nuczonych czeskich: oto dlatego, że się wychowali oni w wierze w te rękojpi i na gramatyce staroczeskiej, właśnie na nich zbudowana. Podnosi dalej zasługi naukowe prof. Gebauera, dodając, iż "niestety, znalazł się w samej Pradze zacięty przeciwnik Gebauera, który po prostu z próżności i nieograniczonej miłości własnej odmawiał i dziś jeszcze odmawia wszelkiego ich uznania" (mowa oczywiście o M. Hattali). Przeciwiłk ten, "któremu nie brak ani ostrego satyryzmu, ani tem mniej grzbiastwa, zdolał dotychczas otulać się placazem miloszącej powagi i ludzi rodaków swoich obciętami, których powno nigdy nie dotrzyma, bo są niewykonalnemi." Do znalezienia sporu potrzeba, zdaniem p. Jagi'ego, porównawczego zbudania piórnictw średniowiecznych; właśnie zapowiadano na pracę tego rodzaju, pida gruntozome znawy. Zdjaje się p. Jagi'owi, iż przewlekłość i chwiejność sporu nastąpiła z winy p. Gebauera, który nie dość stanowczo tego położył ze strony filologii, zbyt wiele przyznając znaczenia badaniom paleograficznym i chemicznym; nie powinien był też nazywać "możliwymi" zboczeniami gwarowymi umyślnie w zabytku nagromadzonych obraźliwizmów i nieumyślnie popelnionych błędów. "Jak jest napisany rękojpi królówdoworaki, tak pisać mógł ten tylko, kto oddawna stracił żywe poczucie mowy, lub go nigdy nie posiadał, kto osobliwym sposobem stworzył sobie język z księżek różnych epok, klesnągo kuksztownie i nasladując." Prof. Masaryk, mowi dalej J., myślał, że dziś już zdola przeprowadzić spokojną dyskusję na gruncie czeskim; jeteli się w tem grubo pomylił, to rozczarowanie bynajmniej jemu ujmę nie ozyjni;" pomylił się nieco pierwsi i Graton Paris, mniemając, iż uczeni czeszy dorozili już do przedmiotowości nalezytej. P. Masarykowi oddaje J. słuszno pochwały za ten poważny i umiarkowany, którym rozpoczął i dalej prowadzi rozprawę, oraz za energiczne podniesienie roli języka, jako głównego pierziera. Obronę rękojpi nazwają "dobrymi patryotami, ale liliymi filologami;" podnosi niekóre nieporozumienie w *Athenaeum* zarzuty; żartuje sobie z deklamacyi p. Jul. Gręgrę i z chwilowej popularności "światelnego językozawcy," "nad innych bystrego filologa" (tak Gręgrę Hattalę nazwają), który "sam jeden dźwiga obecnie na swych barkach brzemie obrony" i wyszaga, aby czem prędzej otworzył "konia trojańskiego" swojej odsieczy. Mniema wreszcie, że możliwa jest rzecza, iż wpływ zachwytu Kopitara nad zabytkami innych słowian przyczynił się do rozbudzenia w duszy Hanka marzeń o dostarczeniu własnej ojczyźnie czegoś podobnego.

W chwili, gdy ten list kończę, dochodzą mnie z Pragi wiadomości o dwóch nowych przyczynkach do sporu: są to dwie broszury obroczne panów Czernego, sekretarza muzeum i Plankskiego, nauczyciela. Zdano ich sprawę w przyszłym artykule; nie pomnę i zabawnego piosenki, ułożonej z barbarzyńców rękojpi, a wydłozonej starym drukiem, którą mi przyjaciele moi pracy nadesłali.

Najsumniejzem że wszystkie to jest, to, że prof. Masaryk osobiście dotknięty już

został za swe przekonania naukowe. Pisały o tem z wielką skwapliwością dzienniki niemieckie; jak o Rycyzwole, zamilczed o tem wole... Obyż zstępujący jutro Duch święty odwiecił zechciał zapalazowy głowy i serca fanatyków czeskich i oszczędził czechem i nam, ich braciom, wstydę przesładowań za przekonania.

Jan Karłowicz.

LITERATURA ROSYJSKA.

ALEKSANDER OSTROWSKIJ.

Literatura rosyjska dzisiaj dopiero zdobywa sobie w Europie uznanie, kiedy właśnie traci po kolei najznakomitszych swych przedstawicieli. W ciągu lat ostatnich umierają po kolei: Pisiemskij, Niekrasow, Dostojewskij, Turgeniew, Kostomarov, Kawielin, Aksakow, teraz wreszcie Ostrowskij, a wszystkie to talenty wybitne, chociaż niejednokrotnej miary. Pozostali jeszcze: Gonczarow, milczący doborowoślad od lat wielu, Szchedrin — złożony ciężką, nieuleczalną chorobą i Low Tolstoj, zatopiony w mistycyzmie, apostoł nowej wiary, stracony również dla literatury. Młodsze pokolenie nie posiada ani jednego talentu, który mógłby czasem dorównać wielkim poprzednikom. Właściwie umierają nitylko znakomici pisarze, ale — jak słusznie zauważył jeden z krytyków rosyjskich, p. Skabiezewskij — schodzi do grobu cała epoka literacka, trzydziestolecie wspaniałego rozkwitu umysłowego i artystycznego, "złoty wiek" rosyjskiego piórnictwa.

Pomiędzy przedstawicielami tej epoki zmarły w dniu 16-go czerwca Aleksander Ostrowskij zajmował poczesne miejsce, jako twórca sztuki dramatycznej rosyjskiej i mistrz słowa, który pomiędzy innymi nie miał współzawodników, w porównaniu zaś z obcymi uważany był może, jako jeden z najznakomitszych dramaturgów współczesnych.

Ostrowskiemu słusznie należy się tytuł ojca komedyi rosyjskiej, jeteli bowiem miał poprzedników, np. Grybojedowa i Gogola, to dzieła ich występują jako jzwijawiska wyjątkowa, które nie tworzą wcale repertuaru teatralnego i nie nadają mu odrębnego charakteru. Sławna komedia Grybojedowa jest dramatyzowaną satyrą społeczną, *Revisor* i *Zemla* Gogola więcej się zbliżają się do tego typu dzieł, który rozwijał Ostrowski, ale właściwie są to jeszcze komedye starego stylu i tylko geniusz autora rozszadła te szablone ramki i wydymała się w luźnych epizodach i szczegółach. Możnaby powiedzieć, że Gogol był również realistą, jak i Ostrowskij, ale jest to podobieństwo zbyt ogólne, które łączy zresztą wszystkich prawie znakomitych przedstawicieli literatury rosyjskiej. Od pierwszych swych samodzielnych kroków była ona zawsze realistyczną i nie krępowała się przepiastami żadnej szkoły. Originalność ta wynikała nie z tej przyczyny, że pisarze nie mieli lub nie znali wzorów, bo wielkie talenty zawsze tworzą dla siebie własne formy, ale że nie było wcale tradycyi literackiej, pozwalającej formom tym wyrazić się według pewnych tytków typów. Realizm więc nie jest bynajmniej zasadniczym znamiennem Gogola i Ostrowskiego, jest on wspólnym tłem, na którym własnymi sobie rysami wyróżniają się wszystkie talenty pisarskie rosyjskie. Różnicę między Ostrowskim i Gogolem stanowi obiektywizm pierwszego z nich, kiedy drugi był naturą namiętną, skłonną do krakowych uprzedzeń w pewnym kierunku. Gogol więc był tak-

że przeważnie satyrykiem, kiedy Ostrowskij odzwiera życie społeczeństwa zgodnie z prawdą rzeczywistą, w całej pełni i rozmaitości. Jakkolwiek różnica ta może mówić na korzyść świeżo zmarłego dramaturga, nie znaczy ona wcale, że był on talentem wyższym, lub nawet równej miary — o tem mowy nawet być nie może; świadczą ona tylko o historycznym postępie twórczości pisarskiej. Zresztą sława Gogola opiera się na wielu innych podstawach i utwory dramatyczne stanowią kilka zaledwie listków w wieńcu, który otacza jego głowę.

Soiący obiektywizm nie jest snown cechą właściwą tylko Ostrowskiemu. Jeden z lepszych krytyków rosyjskich, L. Polonskij, twierdzi, że jest to rys wspólny wszystkim pisarzom pochodzącym wielkorusyjskiego, więcej nawet: wszystkim ludom północnym. Dla rosyjanina Zola jest napuszonem frazeologiem, romantykiem takim, jak dla Zoli jest np. Wiktor Hugo. Ale obiektywizm Ostrowskiego jest tak dokładnym, tak dobrze wytrzymałym, że nawet w literaturze rosyjskiej rzadko znalazł można podobne przykłady. W utworach jego, jak w zwierciadle, odbija się życie społeczeństwa w chaotycznym rozmaitości jego przejawów, bez najmniejszej zmiany, bez uwzględnienia wymagań tendencji lub estetyki. Są to po prostu fotograficzne wiersze obrazy rzeczywistości, utwory, które nie podchodzą pod żadne określenie, nie można je nazwać ani dramatami, ani komedjami. Dobrołubow ochroził je nazwą *szkici z życia* (pjesyżni), wyrażenie pod względem językowym niezręczne, ale dobrze malujące charakter tych utworów. Nie należy jednak sądzić, że oryginalność Ostrowskiego polega na pomieszaniu pierwsiastw dramatycznego z komiznym — rzecz to już dawno używana i praktykowana obecnie, szczególnie przez dramaturgów francuskich; zawiera się ona w tym realizmie odzworowania na scenie stosunków rzeczywistych, do którego wdzających dotychczas naprożno reformatorów teatru na Zachodzie.

Tendencja wyraźna nie przebiega się nawet w wyborze tematów tj. tych stosunków rzeczywistych, które autor przedstawia na scenie; wysoko tytko rozwinięty zmysł obserwacyjny i poczucie artystyczne wskazywały Ostrowskiemu: jakie sfery społeczne i jakie stany życia nadają się najlepiej do odzworowania na deskach teatru. Z tego względu zapewne zmarły dramaturg nie należał do żadnej partii literackiej, wszystkie skłonywały go i ceniły, ponieważ jednak malował życie narodu zgodnie z prawdą i nigdy nie dał się skłonić do ustępstw na rzecz jakichkolwiek, z góry powziętych przekonań, *rzecz naturalna*, że zbliżył się do tego kierunku, który prawdzi nie tał i na jej szczerem wysznaniu opierał swe zasady, więcżasę było utworów swoich drukował w *Sowremienniku*, a po zamknięciu jego w *Otieczestwiennych Zapiskach*.

Głównie i to w najlepszych swoich pracach Ostrowskij przedstawiał życie kupiectwa rosyjskiego, przeważnie nawet moskiewskiego, warstwy społecznej zupełnie odrębnej, zamkniętej w sobie, nieprzystępnej dla wpływów zewnętrznych, której pojęcia, obyczajy, zwyczaje rodzinne i towarzyskie dawały bogaty materiał dla komedyopisarsa. Na wybór tej sfery wpłyły bezwątpienia okoliczności osobiste, Ostrowskij bowiem urodził się i wychował w Moskwie i rodzina jego, jakkolwiek wyróżniająca się wykształceniem i stanowiskiem społecznym, posiadała jednak stosunki z kupiectwem moskiewskim. Dalsze koleje życia ułtwiły mu jeszcze obserwację, po wyjściu bowiem z uniwersytetu przez lat 10 urzędnikiem w sądzie handlowym. Pierwszy utwór dramatyczny młodego pisarza *Obraz szczęśliwego domostwa*, drukowany w 1847 r., przeszedł nieopieczę-

nie; dopiero następny *Swoi — to się pogodzi* (Swoi ludi societasia) zwrócił na niego uwagę krytyki, ale w ówczesnych warunkach znokmito to dzieło, w którym talent autora rozwinął się już w pełni, nie mogło być przedstawionem na scenie a nawet zabroniono szczegółowej jego oceny. Dopiero w 1855 r. komedia ta doczekała się wystawienia i pożywała wielkie powodzenie, Ostrowskiej porzucił wtedy urzędowanie i oddał się pracy dla teatru. W ciągu lat trzydziestu od tego pierwszego triumfu do zgonu napisał on przeszło 50 dzieł i stworzył repertuar teatru narodowego. Dlatego to właśnie należy mu się tytuł ojca komedii rosyjskiej; utwory bowiem Gogola i Grybojedowa tonęły w powodzi tłumaczonych melodramatów i wodewilów fabrykowanych na własną rękę strasznych tragedji z dzieł obcych. Dopiero niewzruszona podołność autorka Ostrowskiej pozwoliła teatrom rosyjskim złożyć własny, oryginalny repertuar, tembardziej, że stworzył on szkołę, a właściwie mówiąc, cała późniejsza literatura dramatyczna rosyjska wstąpiła w jego ślady. Według tego wzoru pisane są wszystkie późniejsze komedje, młodzi autorowie trzymając się wiernie typu utworu Ostrowskiej. Jednocześnie powstaje nowa szkoła aktorów i zmienia się zupełnie gust publiczności. Tylko wielki, samodzielny talent dokonał może takiego przewrotu.

W pierwszym okresie swojej działalności Ostrowskiej nie wychodził prawie po za sferę bytu kupieckiego i tworzył wtedy właśnie najlepsze, drażniące zmysłom obrazy. Trudno niezmierznie przytoczyć w polskim języku tytuły tych dzieł, są to bowiem najczęściej wyrażenia przysłowiowe, które dokładnie tłumaczyć się nie dają. We wszystkich maluje on patryarchalne, na w pół barbarzyńskie, straszne nawet w chwilach komicznych życie domowe klasy kupieckiej, którego najwydatniejszą cechą jest okrutny despotyzm rodzinny. Niektóre z tych dzieł, jak np. *Burza* wchodzi już w dziedzinę dramatu. Na podstawie materialu, jakich dostarczają utwory Ostrowskiej z tego okresu, Dobrolubow oparł swój znakomity publicystyczno-krytyczny artykuł p. t.: *Królestwo ciemności* (Tłomność carstwo), w którym kreśli przejmującą grozą charakterystykę tego świata, oddzielenego murem niechcigiej przesądów od wszelkich wpływów zewnętrznych, do którego nie dochodzą żadne promienie światła, gdzie w zaduchu i mroku wiedzą i marionet zdrowie i świeża kielki lepszego życia, które trafiają jakimś wyrwy na tym bagnistym gruncie. Znakomita pod względem publicystycznym praca Dobrolubowa, który światła ugrupował potrzebne mu dane, wyraża trafnie bardzo znaczenie społeczne utworów Ostrowskiej, ale nie daje dokładnego pojęcia o nich, krytyk bowiem tendencyjnie podniósł tytuł pewno ich strony. Idzie mi tu o to, że Ostrowskiej nie przedstawia nigdy wyłącznie ujemnych lub dodatnich typów, bohaterowie jej mają zawsze pewne słabości lub nawet śmieszności ludzkie, w najgorszych zaś lotach, w okrutnych tyranach, w apodyktycznych szubrawcach odzyskują się w pewnych chwilach uczucia lepsze i szlachetniejsze, jak to zresztą zwykło bywać w życiu rzeczywiście, którego utwory te są wierną kopią.

Od 1880 r. zaczął Ostrowskiej pisać dramaty historyczne, które, pomimo wielu niezaprzeczonych zalet, nie mają tej wartości, co komedje obyczajowe i — rzecz dziwna — często nie są nawet sceniczne, chociaż pod tym względem zmarły dramaturg celował. W ostatnich wreszcie latach autor pojął, że stosunki społeczne uległy radykalnej przemianie, objął więc w pomyślniejszych swych szersze sfery, przedstawiając zaczął typy najpróżniejszych, przeważnie nawet nowej formacji: aferyzistów, zbud-

krutowanych obywateli, wykształconych fabrykantów, działaczy w ziemstwie itd. Są to jednak wszystkie rzeczy słabsze w całości, chociaż niektóre niektóre sceny przypominają mistrzowską rękę. Trudno sądzić, czy przyczyną tego był wiek autora, czy toż talent jego nie doznał ogarnięcia różnorodnych motywów, czy wreszcie, co jest najprawdopodobniejsze, jak utrzymuje p. Skabiezowski, popełnił on błąd w tem, że nowe typy przedstawiał różnie na tle stosunków rodzinnych, kiełki właściwie mają one znaczenie i odbijają się wyraziście tylko na tle społecznem. Dodadł potrzeba, że Ostrowskiej był mistrzem języka, którym władał z taką swobodą i znajomością, iż ołasniewał bogactwem nowych, oryginalnych słów i wyrażań. Pod tym względem nie dorównał mu nikt ze współczesnych, w niektórych razach chyba jeden Siatkowski (Szczepkowski) może z nim współzawodniczyć. Wybrał on sobie jedną tylko gałąź działalności pisarskiej, ale w tym zakresie stworzył dzieła, które długo świadczyć będą o jego talencie, stworzył odrębny kierunek literacki, własną szkołę, więcej jeszcze — samostyt, narodowy typ sztuki dramatycznej. Dokonał tego siłą własnego talentu, chociaż nie miał żadnych wzorów, a może dlatego właśnie, że ich nie miał.

J. J. P.

LITERATURA FRANCUSKA.

L'Abbé Joseph Lémann. *L'entrée des Israélites dans la société française et les états chrétiens, d'après des documents nouveaux*. Paryż, 1886.

Źródłowa ta praca służyć może za dopełnienie książki Drumonta *La France juive*. Kierunek jej jednak wręcz przeciwny. Autor jest izraelitą z pochodzenia, który przyjął następnie chrześcijaństwo i został księdzem. W dziele swem dowodzi, że lepszy duch judaizmu przeniknął społeczeństwa chrześcijańskie i że rozwój ten zakończył się przejściem wyznawców Talmudu na łono kościoła.

Edmond et Jules de Goncourt. *Pages retrouvées*. Paryż, 1886.

W książce tej Edmond Goncourt zebrał swoje i zmarłego już brata swego artykuły, szkice, foljony i nowele, rozrzucone po różnych piśmiach francuskich od r. 1852. Materiał ten starczył już na zapełnienie dwóch tomów, wydanych poprzednio pod tytułami *La Lorette* i *Voirure de masques*. Wiele ze szkiców, zawartych w obecnym tomie, ma jedynie wartość historyczną, wszystkie jednak te kartki ulotne opracowane są starannie i pisane z artystem, właściwym dwum tym apostołom francuskiego naturalizmu. Na wyróżnienie zalegają doskonale utwory Edm. Goncourta o Teofilu Gautier.

Jules Case. *La fille à Blanchard*. Paryż, 1886.

Antor należy do grona młodych naturalistów francuskich. Powieść jego obecną jest trzecią z kolei. W wszystkich kobietach i miłości słuszy mu za wytyczny przedmiot badania i artystycznego odtwarzania. W pierwszej z tych powieści *La petite Zette* przedstawił młode dziewczę, palające gorącą i szlachetną miłością do człowieka młodego, zepętego jednak przedwczesnie, lubo nieśmięłego i uganianego się za nadzwyczajnymi wrażeniami, które go wykolejały i przemieniały wreszcie na płytkiego filistrę. W *Une Bourgeoise* widzimy znowu kobietę młodą, piękną, pełną lepszych pragnień i porwów, która wychodzi za mąż za człowieka pospolitego, wie-

ków tych znieść nie może i marnieje. W ostatniej powieści opisuje nam wreszcie kobietę młodą, wiesiacką, wydaną w Paryżu za człowieka starszego i nieznającego jej prawie zupełnie. Wkrótce po ślubie porzeka ona swego męża i żyje w ukryciu z pewnym młodym człowiekiem; myśl jednak o tem, że może być odkryta, prześladowana, wyraża się w manii, pod wpływem której zabija małżonka, atojącego jej na przeszkodzie. Odtrącona następnie przez kochanka i zagrożona karą, rzuca się do skały w morze i tonie. Powieści te pisane są z talentem i drobiazgowo, spostrzegawczością naturalistów francuskich. Potracając one, jak widzimy, o odwieczną sprawę stosunków małżeńskich, która dostarcza wciąż najobfitszego, prawie wyłącznie tematu powieściopisarzom francuskim.

Robert Case. *Dans l'intimité*. Paryż, 1886.

Jest to szereg szkiców i obrazków, zebranych na bruku paryskim. Autor zginął przed kilku dniami w pojedynku, wynikłym wskutek blubej polemiki dziennikarskiej. Dwoma poprzednimi pracami: *L'élève Gendrevin* i *La semaine d'Ursule* zdobył już sobie dość wybitne stanowisko w szeregu obecnujących młodych realistów.

Bibliograficzne te notatki zakończę wzmianką, że największem powodzeniem w zakresie powieściowym w Paryżu cieszy się wprawie obecnie tom nowel Guy de Maupassanta, zatytułowany: *La petite Roque* i *La Boule*, powieść młodego pisarza René Maizerova, który znany był dotychczas z nader drastycznych obrazków, kreślonych jednak bez wielkiego talentu. Ostatnia powieść o wiele więcej zadawalna pod względem artystycznym. Treścią — jak zwykle — kobieta i stosunki małżeńskie.

P.

TEATR.

Nasi zięciowie. Komedja Kazimierza Zaleskiego.

Zdawkowa krytyka, starająca się wszelki objaw twórczości pisarskiej podniegać pod pewne, określone i oklepiane formułki, zawyrokujeła już, że p. Zalewski w dwóch ostatnich utworach (*Przebieg* i *Nasi zięciowie*) stanowczo przetrząsnął od komedji obyczajowej — do tendencyjno-społecznej. Bieżąc, p. Zalewski jest autorem wybitnie tendencyjnym, jak zresztą musi być nim każdy poważny komedyopisarz, ale okoliczności te nie nadają dziełom jego odrębnej formy. W *Naszych zięciach* np., jak również w *Przebieg*, nie ma tendencji ściśle przeprowadzonej, nie ma takiego rozwiązania sytuacji dramatycznej, któreby było zarazem rozwiązaniem kwestji społecznej, służącej za ośnowę komedji, z tego powodu zrobiono nawet autowemu zarzut, również, zdaniem naszym, niezasadniony, bo oparty właśnie na owem błędnem określeniu rodzaju jego twórczości. P. Zalewski w ostatniej swej komedji daje nam szereg scen, wnieście zaś do drobiazgowo odzwierciedlających życie i stosunki pewnej sfery, tendencja przebiega się tylko w wyborze tematu, w oświetleniu osób działających, w zdaniach głośnienigdzie wtropnych luźnie, ale bynajmniej nie w samym przebiegu ukeji i jej rozwiązaniu. Jeżeli w ostatnich utworach znajdziemy ślady społecznej szerszego zakroju, nie znaczy to wcale, że autor zmienił rodzaj twórczości, lecz po prostu, że talent jego dojrzał, zakres obserwacji rozszerzył się, amysł jego głębiej bada stosunki społeczne. P. Z. przedstawia tu z różnych stron typy wszystkich warstw mieszczaństwa, artystyka-

ożył kapitał, że zaś przedstawia je zgodnie z prawdą, najlepszy dowód w tom, iż okarują go ciągle o kopiowanie osób i stosunków istniejących. Obrabione dziwotwory, przejrzańsze się w zwierciadle, które im podawał p. Żalowski, gubią się i kręcą, że szkło jest w złym gatunku, że wykrywa im twarze, bo one przecie nie wyglądają tak wstępnie w rzeczywistości. Zwierciadło to jednak nie winno; pod jakimkolwiek bowiem kątem ustawia je autor, tj. jakkolwiek są jego własne przekonania, odbicia twarzy wychodzą nieco może spłaszczone, lub wydłużone karykaturalnie, ale zawsze podobne. Ta fotograficzna niemal dokładność odwzorowania syca pewnych sfór pozwala nam nie brać nawet wcale pod uwagę własnych przekonań autora, w imię których działa jego satyra.

Nie będziemy szczegółowo przytaczali treści komedii, z tytułu już czytelnik domysla się, o co może iść. Autor przedstawia kilka typów tesciów — kapitalistów i kupionych zięciów. Jeden z nich hr. Pimboche, arystokratyczny szlachek, półdłota i utrącony, w dodatku jeszcze wyniszczony fizycznie. Drugi, Wielohradzki, również syn szlachecki, w którego żyłach płynie krew nietylko karmazynowa, ale nawet niebieska, również birbant i cynik, hulaka i literat, rozumie się, z obżożachowawców. Dwie te postaci, żywcem wzięte z rzeczywistości, obdarzone wręcz przeciwnymi temperamentami, mają jeden rys wspólny — nikczemność cyniczna, wyrastająca się zresztą z rozmaici: bo kiedy hr. Pimboche wykrykuje tescia wesoło, Wielohradzki bije żonę, bije kasjera, który odmawia mu pieniędzy, hałasuje i burza się na skłapstwo żydowskie. Tylko spokojny tescin Stockfinda (Żółkowski), który z zimną krwią odpowiada na jego wykryki: „ty już zrobiłeś swoje, ja mam wnuka z nazwiskiem i jestam mi niepożrebny“, przyprawdza go do równowagi. Faktorką tych mieszanych małżeństw jest niejaka Korboszowa, która z arystokratycznej kokotki przemienia się na wielkoświatową rajfurkę i opiekunkę „rozszarpanych“ żon. Za jej pośrednictwem młody obywatel ziemski Horsiak zapoznaje się z p. Lolą Limburg, siostrą hrabiny Pimboche, i pomimo wahań młodzi ludzie pokochali się wreszcie. Kiedy jednak Horsiak wyznaje swą miłość przyszłemu tesciowi, Limburg z usasadnionem zresztą niedowierzaniem przyjmuje to oświadczenie. Podejrzliwość jego rani boleśnie szlachetnego młodzieńca, zrywa więc upragniony związek, a raczej odklada go. Z tego zakończenia komedii zrobiono p. Żalowskimi m. żart, że nie rozwiązał „kwestyi“ i nie wskazał drogi wyjścia szczerze kochającym się parom. Pozwól sobie więc innemu zdania i w tem właśnie zakończeniu widzieć dowód talenta autora, który dla zrobienia przyjemności opiekunkom cniuch sro i amatorom rostrzargania „kwestyi społecznych“ nie pogwałcił prawdy psychologicznej i życiowej. Ożwiokiewicz, uosowy i prosty, jakim autor przedstawia Horskiego, analizując się w takim otoczeniu i dotknięty bolesnem podejrzeniem, nie mógł nie uczuć wstępu, nie mógł nie zrozumieć, że zawsze będzie kupionym zięciem. Pomimo tego zresztą pozostł on wyraźnie różnie pojęd, stosunków, zachowania się ludzi, z którymi żyłby musiał. Oprócz zornia, innego bródka mając gościa z polozona tego nie było, może z biegiem czasu namyślił się, może wrócił i zostanie zięciem bankierskim i szarozem ożwiokiem po-żadnym, jak ów „pierwszy zięć“, który raz tylko zjawia się na scenie, widocznie dla zaznaczenia innego jeszcze typu, ożwiokowa, który ożenił się z bankierem, w imię „casady“, mniejsza o to jakiej i pozostał uosowy i poradnym gentlemanem. Nakreślenie tego ożwiokowa, pułnego fałszu, podejrzliwości, brutalnego cy-

nizmu, rozpusty, z którego wyrwa się gwałtownie Horsiak, bo inaczej zadusiłby się w tej atmosferze sepułtej — oto główna zaleta komedii. Arystokratyczna kapitał ma w p. Żalowskim wyborczego malara, który przedstawia ją z dokładną wiernością w ogólnym zarysie, chociaż może karykaturalnie w szczegółach. Autor nie powołuje się żadnem uprzedzeniem a przynajmniej nie popuszcza mu oguli i nie pozwala krzywić prawdy: tesciowie-izraelici np. wychodzą pomimo wad i amszności swoicko daleko sympatycznie, niemal drogo nabyci zięciowie — chrześcianie. Dla Stockfinda, który ma dwie córki na wydania, zięcia, który mu grozi pobiciem i katar żołądka, można czuć pewne współczucie, dla Wielohradzkiego — tylko pogardę.

P. Żalowski z temperamentu jest publicystą, ale w wykonaniu pomyślał posiadać zmysł artystyczny, który niemożesz szczegółowo podawać mu właściwe i realne sposoby ich oddania. W ostatnich komedych swoich bierze on tylko pewną, dosyć cinną sferę życia, przedstawia ją jednak w całej pełni, nie pomijając szczegółów, ale i nie przesławdując nimi obrazu. Nietylko maluje on prawdziwie rzeczywistość, ale i także mówi prawdę, bez względu, czy to komu podoba się, czy nie. Dla komedypisarsza jest to cenny przymiot.

Komedia p. Żalowskiego posiada liczne wady, których wszakże nie będziemy tu wyliczać, gdyż w ocenie utworu, będącego uosowizowanym artykułem społecznym, więcej chodzi o myśl, niż o jej artystyczne wykończenie. Dodac trzeba, że w przedstawieniu *Naszych zięciów* wzięły udział najlepsze siły artystyczne. Pp. Żółkowski i Ostrowski jako tesciowie, Tatarkiewicz i Kotarskiński w rolach zięciów; panie: Ludowa, Czałki, Ładnowska, Chraszcowska i wreszcie wszyscy inni odegrali całosć znakomicie. Taka staranna obsada podnosi jeszcze wartość utworu na scenie.

W. W.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Złoté klimatu. — Nasze ułechy i przysię o nich rozmyśl. — Regestr czynów obyatekiskich. — Wystawa lawentarsza. — Chłodne z nła rostanie. — Nasze zakłady kapłelowe. — Pora dla wygrana korzyści. — Wielkie kapitały. — Brak ludzi. — Skarga p. Celsa Lewickiego. — Gwiazdozbiór naszej prasy. — Głosy publiczne.

Gdybyśmy posiadali fantazyę nieboszczaka króla bawarskiego, moglibyśmy pocieszać się, że natura donaję drezczów z niebo płazów nad nami ze współczuciem, nieważ jednak trudno się ludzi przytłoczyć otrzeźwieńciami, musimy nadzwotić przynależność do klimatu, licha nasz klimat bezwiednie sprzymierzył się przeciwko nam z innymi świadomymi czynnikami. Takim czerwcom, deszczowym i chłodnym warto przeklinać złych ludzi, ale nie warto mu poświęcić kulawego rymu. Wobec różnorodnych utrapień było oem karmimy nasze serce, głodne pomysłów wrażeń. Wyważeni na czas pewien z warunków, które uczą nas klasnąć w dłonie tam, gdzie inni waruszają objętością ramionami, sprawdzeni z żywych i błogosławionych niw na ten grunt jałowy i zapuszczonej, zdumielibyśmy się nieraz nad powodami naszej głębokiej radości. Maluczo i będziemy prowadzić taki rozmyw.

— Jesteś pan dziś szczególnie wesoły.
— Bo mi się asiad, z którym tożysłem długi proces, wygrał sprawę w ostatniej instancyi.

— Ooś pana widocznie uszczęśliwiło.
— Kupiec, który mnie okpił na zbożu, sprzedał je zyskownie za granicą.

Zobaczywszy rolnika, orzącego pole ludźmi, zaprzęgniemy do plaga, będziemy wtedy wykrykiwali:

— Szlachetny dobroczyńca dał jednej parze ludzkiej uosowy i pożądaną zarobek.

W przybliżeniu robimy to już dziś, wale nie dostrzegając naiwności naszych przyjemnych wzruszeń, zacierając się bowiem uczucie widzenia czegoś, co się rodzi bez wielkich pazurew, kłów i rogów, co ma przynajmniej pozory dobra ogólnego. Chwaliliśmy wyprawę do Afryki — to jeszcze nie, będziemy może wykazywali obywatelską zasługę tych, którzy wygrały znaczne sumy na saskiej loteryi lub pożyczko promiowej. Wszakże np. dzienniki społeczeństw cywilizowanych nigdy nie donoszą, z zaobwytem (oaby w ogłoszeniach platnych), że ktoś założył nową fabrykę lub otworzył restaurację; my podnosimy uroczystość te fakty i spożywanym je w sosie patryotycznym. Kapitalista, pragnąc pocić swe zasoby w ruch dobrze procentujący i wyzyskać pracę sił najemnych oraz potrzeby rynku, zaczyna wyrabiać grabienie lub igły; nie myśli on przytem ani o spodwignięciu przemysłu krajowego, ani o „wyzwoleniu go z poddaństwa zagranicą“, ani o „danu sąsiedza rękąm produkującym“, lecz bła przedewszystkiem o własną kieszeń. My wszakże, stęsknieni do objawów dodatkich, wystawiamy mu zbiorowy adres dziękczynny z godłem: „wieg żyjemy.“ Jest to dziwaczne, ale psychologicznie usprawiedliwione. Alboż to nie spotykamy ludzi, którzy dostawsz groźną tanczą z radości lub wnoszą modły ku niebu!

Wszędzie wystawa inwentarsza jest wystawą inwentarszą. My biedacy, którzy z Towarzystwa Dobroczynności chcieliśmy kiedyś zrobić Panteon a z Towarzystwa Kredytowego Akademię geologiczną, budowaliśmy na placu Ujazdowskim gmachy fantastycznych rojeń, które naturalnie się rozwiąły. Dopoki wszakże z tej ruiny wisiły w powietrzu obłozne słupy i ciężowe wiązania, uczęszczałszyśmy tłumnie na „ekspozycyę“, zwłaszcza gdy dostarczała nam w letnim karnawale świeżej rozrywki, o którą rzetelny słowianin tak dba, że bez niej wykrykby się nieba. Przekonawszy się, że wystawa inwentarsza, pomimo złęzonych z nią narad ziemianiskich u p. Trylekiego, jest tylko wystawą inwentarszą, że znawcy moze w niej każdego roku widuć coś nowego, ale publiczność podziwia tylko szereg ogonów końskich, bydłych, owczych itd. — ochłonęliśmy znaczenie. Tęgoroczna była już wiedziana tak słabo, że gdy komitet pocięwał ją ze wzruszeniem jako ostatnią według urzędowego pozwolenia, w prasie nie odbiło się echo smutku. Przestała bowiem być instytucją ogólną, a zaczęła być — jak powinna — ożyto ziemianką.

W sądeniu zjawisk ekonomicznych niepodobna wciągać do rachunku przemienność gustów, choćci okazania przy nich zbytkownych toalet lub zapiania męsz; zdaje mi się jednak, że nawet dla rolników coroczne wystawy, które w krótkich okresach czasu nie mogą wydłużyć poważniejszych postępów pracy, są za częste. Widzieliśmy to w udzielonych nagrodach i odznaczeniach. W końcu już niemal musiano bić medale dla tych, którzy rano wstawali lub owiec nie wypędzają na trawę w zimie. Istotnych zasług lub znakomitich rezultatów doświadczalnych brakło, podnoszone więc w górę były przymiot gospodarczy. Metoda zamiast podwyższąć zniżala poziom wymagań, nie dawała dobrego przykładu ani obywatelom, ani chłopom, którzy sąpowie odjechali z przekonaniem, że gdyby wykroili z wierzbiny

długie fajarki, libyby otrzymali po złotym medalu.

Ziemia procentuje złe, kamienice — złe, handel — złe, przerażony lub zniechęcony kapitał skupił się w bankach lub wlał w papiery publiczne i płacze, że nie ma pola do bezpiecznych i zyskowych obrotów. A tymczasem obca ręka gdzieś zawadziła rydłem, wszędzie odnajduje bogatą żyłę. Nie jest to raj, nie jest to nawet stan smolnej sprawiedliwości, ale jest to uwarunkowanie konieczne, któremu poddać się trzeba a w którym pewno zadania podjąć i nalezyć spłnić może tylko kapitał wielki. Nasze zakłady kuracyjne, usiłujące z zaległości wyhodować szybko wielkie drby, nie rozumieją tej żelaznej logiki rzeczy i dlatego brudem, niewygody, droższymi, brakiem niezbędnych środków odstraszaają chorych. Rok obecny, w którym z pruskiej zła zaczęło wyrastać polskie dobro, był najłajszawszą i decydującą porą do reformy w tej dziedzinie. Skutkiem ogólnej biedy i nawoływani prasy, odstępających ogół od wód niemieckich, krajowe zaroiły się gęsto gośćmi. Krótkotrwałe to jednak pociecha, gdyż ta sama prasa brami dawnymi skargami na kuracje patryotyczną. Winięci zaś nierząd, nieumiejętność, zdzierstwo? Potrosze, ale przedewszystkiem winna niemoc pieniężna, która nie pozwala owym zakładom zaprowadzić ulepszeń i przywiązać do siebie chorych. Obitym strumieniem trysnęła woda na krajowe kółka, obracając się one i mieni, ale młynarze nie myślą o wyszlamowaniu i ujein w trwałe łożysko potoku, który wkrótce rośnie się na wszystkie strony! Prawie nigdzie bowiem nie dostrzegamy przy tej robotce wielkich kapitałów, jedynie mogać ją spłnić z zadowoleniem stron obu; wszędzie uwijają się drobne mrowki, których triumf byłby dla nas najbardziej pożądanym, ale które, niestety, upadają pod ciężarem, przewyższającym ich siły. Obym był futszywym prorokiem, ponieważ jednak znam naszą krótką pamięć, lekceważenie swojoczozyzny i chęć wrywania jak najdalej po za rodzinne gniazdo, a nie przypuszczam, żeby wyszło drugie wydanie edyktu pruskiego, sądzę, że latnie jaskółki w roku następnym odleca z kraju pod dachy niemieckie a miejscowe zakłady kuracyjne znów pozostaną puste.

Długi szereg doświadczeń i spostrzeżeń szerepu nie w tej chwili do ucha, że na tem jak na każdym polu, brak nam nietylko kapitałów, ale także — ludzi. Zdawałoby się, że los tego przezprajniężni nie nie poskapił, owozem, że na zmarnowanie skazał liczne zastępy sił zdolnych. A jednakże kogokolwiek zagadniesz, kto kieruje pracą zbiorową, każdy z doświadczeniem wycałną naukę, że jego okręgi rozbił się nie o skały podwodne, nie o dzioby naprzeciw płynących statków, nie w wiechach burzy, ale przez nieudolność lub niesumienność majtków. Powtarza to zarówno przedsiębiorca kolejowy, jak fabrykant, kupiec lub wydawca. Dotąd pracownik zdolny i uzołowy ma u nas wagę złotą; jego głowa, jego ręce nigdy nie próżnią, bo zawsze go dobrze sprzeda.

P. Cels Lewicki wydrukował list otwarty do redaktorów warszawskich z wezwaniem, ażeby nie lekceważyli głosów publiczności i otwierali im szerzej swe kolumny. Autor ma w zasadzie słusność, gdyż prasa nasza zbyt oddalała się od potrzeb społeczeństwa i dogadza jedynie potrzebom literatów, dla nich zakładła nowe przybity, z ich uosob, myśli, żądań, sympatyj i antypatyj tworzy sztuczną atmosferę, którą oddycha ogół. Zwykle dwa lub trzech dziennikarzy, niezwiązanych blaskiem z żadną literacką konstelacją, blaknących się bez stałych dróg, składają nowa, nie pytając koma i o zm i świat. Niebo też naszej prasy jest gwałtownie, ale żyjącym na padole nie jest przez to jaśniejszy. Tymczasem, gdyby szukano domów i chat ciemnych,

gdymy w nich zpalono ognie, któreby ludziom dawały światło i ciepło — słowem, gdyby zbadano potrzeby ogółu i ozycono im zadość — mielibyśmy w prasie mniej zdwakowego konwencyonalizmu i satucznego powietrza, mniej stereotypowych obidi, a więcej prawdziwych wyrazów opinii. Opinia ta często się ozywa w listach do redakcji, lecz zwykle, albo tworząc rozdziewik z tonem wybranego organu, idzie do kosza, albo przybywa w takiej niedzielniej lub kalekiej formie, że pod cionkami drukarskiej się nie nadaje. Ogół nasz nadaje większość literatów — pisze niedbale a zastrzega netykalność dla swego piera. Co wtedy pozostaje redakcji ozybić, ażeby do zamulonej literatury, po której pływają różne odpadki wszzechgławy ludzkiej i męty niechlujstwa, nie zamieczyssać jeszcze bardziej? Opuszczać stawidło i zatrzymać niem wiotry, w których tkniez włókno rozsądka i szlachetnego uczucia, ale które wrzód starannie wypłukać i okroić trzeba.

Mój sąsiad ma jeszcze inne w tej sprawie zarzuty, które poniżej stawia.

Posel Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Głos publiczności. — Skurczony perkł rozszerza się. — Chędry w Radomiu. — Długie na gryza. — Eldorado żłodzijskie. — Ukrywany skandal.

Niemna chyba pisma, któreby nie życzyło sobie ściślejszej łączności między redakcją i czytelnikami i nie ozywało w tym względzie pewnych usiłowań. Siłszyliśmy niejedenkrotnie utyskiwania na brak korespondentów, prosby o nadsyłanie uwag i wiadomości, widzieliśmy nawet oddzielne rubryki dla „głosów z publiczności”, wszystkie te zachęty pozostały jednak bezskutocznymi. Któż by więc mógł przypuścić, że z póród publiczności wyjdzie zdanie dopuszczające jej do głosu i to nietylko w sprawach wyjątkowych, ale na zasądzie stałego współpracownictwa. Właściwie wiedzieć trudno, czy pragnie tego jakiś znaczący zastęp czytelników, bo nie spotykaliśmy się z podobnymi żyznieniami, ale tak nas zapewnia p. Cels Lewicki, który w imieniu ogółu abonentów ozybił: „List otwarty do redakcji wszystkich pism treści ogólnej.” P. Lewicki sądzi nam mniej ni więcej, tylko stałego współpracownictwa ozybił w piśmie, które zmuszone byłoby zamieszczać wszelkie „głosy”, „słówka”, „jeszcze słówka”, „kilka myśli” itp. wyrzucenia amatorów pisanie i przemawiania do narodu. Przy takim prowadzeniu dziennika znikłby zupełnie jednolitość kierunku, co zroszt nie stanowi ważnej sprawy, ponieważ większość pism naszych nie posiada go wcale, i wytworzyła by się mieszanina dziwnych poglądów. Dziennik przestałby być organem informacyjnym i stał się po prostu skrajną do listów, których w dodatku nikt by nie chciał czytać. Każdy bowiem z pnumeratorów rozprawiałby o rzeczach, które mu najbardziej leżą na sercu, ale ogółu mogą nie obchodzić zgola. Każda redakcja chętnie wita współpracownictwo przygodne i pomieszcza nieraz z zastrzeżeniem zdanie, na które w szczególności nie zgadza się, jeżeli zdanie to ma jaką wartość i liczy się z warunkami istnienia prasy, o których amatorowie pisanie zwykle słyszą nie obca, chociaż dla pisma jest to rzecz nie malej wagi. Jedne rzeczy zajmują cały ogół ludzi inteligentnych, inne ciekawymi są tylko dla ludzi pewnych zajęć, lub mieszkających pewnego okręgu, prowincji itd. Zdarsza się nam nieraz otrzymać artykuł w sprawie specjalnej, któremu możnaby przy zachowaniu

pewnych warunków udzielić gościnności w łamach pisma, ale oś zwykle sprawa ta traktowana jest tak oberźnie, że wykład jej sąjął by kilka numerów dziennika, tymczasem obchodzi ono bardzo nieliczne grono czytelników. Ze względu na wydawniczych dopuszczenie takiego współpracownictwa amatorskiego było by nawet korzystnym i temi pobudkami kierując się zapewne owe pisma, które p. Lewicki chwali, pomieszczenia korespondency z różnych miejsc o rzeczach blaskich, które gdyby nawet zadawlały ciekawość czytelnika, to nie przyniosą mu żadnego pożytku.

Przykład dzienników amerykańskich nie jest dobrany trafnie, widocznie p. Lewicki nie zna ich wcale, chociaż na ich przykładzie opiera swe wnioski. Pisma amerykańskie korzystają rzeczywiście z współudziału czytelników bardzo obficie, ale tylko w zakresie podawania informacji i dostarczania wiadomości faktycznych. Takich korespondentów każda redakcja przyjmuje z otwartymi rękami, jak upragnionych gości, bo każda, oczekując ich napróżno, wypatrzyła ozy. Ale p. Lewicki omylił nie o to idzie, chce on zabierać głos w różnych sprawach, wypowiada zdanie, rozwija swe poglądy. To już rzecz inna, chociaż i takie współpracownictwo jest możliwym, jeżeli poglądy posiadają będa jakąś wartość i liczy się z warunkami literackimi.

Dotychczas brak nam korespondentów prawdziwych, mamy za to pełną ręką z ozubem dorosłych filozofów, snujących w zaciszu wiejskim dziwaczne marzenia lub brednie, apostołów, których w godzinie poobiedniej drzemki lub w nocy bezsennej „nawiedziło” objawienie jakiejś szczególnej prawdy. Ci właśnie najczęściej zasiłają redakcyje swymi wyprawianiami, są to „grafomani” z natury, typ, który bardzo ozywa, zwłaszcza u nas, spotkać można, i oni to właśnie najgoręcej domagają się drukowania swych utworów. Ludzie rozumni, którym idzie o rzecz nie zaś o zadowolenie próżności lub popędu pisarskiego — nie stawia takich żądań, przesyłają oni czasem uwagi swoje redakcyom, dostarczają materialu, ale poprzestają na tem, pozwalając korzystać dowolnie ze swych wskazówek. Takie współpracownictwo jest bardzo cennem, ale, niestety, bardziej jeszcze rzadkiem. Ci zaś, którzy posiadają odpowiednie warunki do pracy literackiej mogą być zawsze i są współpracownikami pism, bo to przecie nie zależy od miejsca zamieszkania.

W szeregu wielkich reform dziennikarskich, na które p. Prus z p. Kronenbergiem wydali, jak utrzymuje pierwszy z nich, w ciągu roku 40,000 rs., była właśnie rubryka „głosów publiczności” w *ś.p. Nowinach*, w której jednak nikt głosu nie zabierał. „Pomimo to,” dodaje Prus, nietylko niecierpiłszy się *poparciem ogółu*, jak to dziś tak stanowczo obiecuje p. Lewicki, ale sądził mi się, że na liście pnumeratorów nie posiadaliśmy nawet... p. Celsa Lewickiego.”

Pokrewny przedmiot porusza wydawca *Dziennika Łódzkiego*, który skarży się, że prasa zbyt mało zajmuje się prowincją i dziennikami miejscowymi, z których czerpie tylko wiadomości bieżące, pomijając rozbiór ważniejszych spraw. Że prasa warszawska za mało zajmuje się prowincją — to święta prawda, ale nie dla tego wcale, iż nie zamieszcza ocen artykułów dzienników prowincjonalnych i nie traktuje szeroko spraw miejscowych. Bo mogą obchodzić czytelników z Wolynia, Litwy a nawet Suwałk, Lublina lub Kielc — sprawy wyłącznie łódzkie? Że jest właśnie dlatego, że sprawy czysto warszawskie przemagają nad ogólnokrajowymi i dla wyleczenia z tej wady *Dziennik* pragnie, żeby w pismach przeznaczo-

nych dla wszystkich mieszkańców kraju przeważały sprawy łódzkie, radomskie, płockie itd. Najcięższym jest wszakże, że uwagi te wypowiadane są z powodu owego głośnego „kurczenia się” zbieleńskich perkalu. Chcąc zapewne wynagrodzić brak 1/4 werszka szerokości, rozciągał się teraz ów perkal aż w kilku numerach dziennika. Czy i te sprawy pisma warszawskie powinny należeć uwzględnić i poświęcić jej szereg artykułów?

Co innego np. chedery w Radomiu; sprawa ta oprócz miejscowego charakteru posiada ogólne znaczenie, warunki bowiem wychowania ludności żydowskiej w całym kraju są mniej więcej jednakowe i zbadanie ich na pewnej ograniczonej przestrzeni daje dokładnie pojęcie o całości. Chedery są to szkoły wyznaniowe prywatne, utrzymywane przez t. z. melamedów, uczęszczają do nich dzieci rozmaitego wieku, przeważnie od lat 7 do 13, chociaż są i takie szkółki, w których uczą się dzieci młodsze, nieraz nawet 3 letnie i tego rodzaju chederów jest w Radomiu aż 10 z ogólnej liczby 44. W szkołach tych pobiera naukę 568 dzieci, których rodzice płacą za to rocznie 10,612 rs., oprócz tego niektóre chedery otrzymują zasiłki od miejscowej inteligencji (?). W 25 chederach dzieci od lat 6 do 12 uczą się po hebrajsku 8 godzin dziennie a siedzą po godzin 11, w kilku zaś tylko po 5 1/2 godzin. Szkoła mieści się zwykle w mieszkaniu prywatnym melameda w najgorszych warunkach sanitarnych. W tym zaduchu w ciągu 10 godzin dziennie ogłupiają się dzieci żydowskie uczeniem na pamięć modlitw lub wyjątków z Talmudu w języku nie zrozumiałym dla nich, nauka zaś odbywa się przy pomocy takich środków pedagogicznych (według własnych słów melamedów) jak: bicia po twarzy, „bicie ręką w część ciała, znajdującą się najbliższą nauczycielowi” (?), chłosta dyscypliny, areszt itd. W osterach tych chederach uczą trochę po rosyjsku, po polsku zaś w żadnym, chociaż na naukę tego języka, położonym jest nacisk nawet w rozporządzeniach rządowych, jak dodaje *Gazeta radomska*. Większość melamedów nie zna wcale języka krajowego. Czy i tym udziela wsparcia „inteligencja izraelska”?

W Pabianicach fabrykant E. (pisma nasze przez grzeszność nie wymieniają jego nazwiska) zniżył robotnikom płacę o 50 kopiejek tygodniowo i zapowiedział, że jeżeli się nie zgodzą, to on sprowadzi Niemców. Ponieważ robotnicy nie mają pojęcia o polityce, ani tysiącletnich wzgórz, jakie nas łączą z Zacobodem, ani o wymaganiach grzeszności międzynarodowej, o świadczyli więc, że do pracy nie pójdą. Bezrobotni trwali dni kilka i przybrały groźny charakter, dopiero wnieśli się p. uczelnika powiatu zgłosił do prawdopodobnie starcie. Wysłuchawszy żądań robotników, usnął on ich słuszość i wpłynął na fabrykanta, że redukcja płacy zmniejszona będzie o połowę. Oprócz tego p. nauczelnik polecił robotnikom, żeby w razie nadużyć ze strony przedsiębiorcy, lub zmuszenia ich do pracy w dniu świątecznym, co dotychczas miało miejsce, zawiadomili go o tem natychmiast. W danym razie dobrze się stało, że znalazł się „strach,” którego Niemcy choć trochę się boją, ale czy strach ten może i powinien stać zawsze na straży.

W Krąśniku, w gub. lubelskiej istnieje prawdziwie Eldorado złodziejskie. Teraz dopiero ciekawe oko władzy sądowej zajęło do tego rajn i odkryło cudowne rzeczy. Kradzione przedmioty przechowywały się w ogrodzie, należącym do jednego z herosów bandy, pierścienki, kolczyki i inne kosztowności wisiały na drzewach, niby owoce, inne rzeczy ukrywano były w podobny sposób. Złodzieje posiadali taką powagę w mieście, że podczas wesela

np. u któregośkolwiek z zamożniejszych obywateli zapraszano ich jako gości. Była to pewnego rodzaju asokuracja. Podczas uczy złodziej wydobyla z kieszeni nóż, w którym gospodarz poznał swoją własność, skradzioną mu wraz ze znaczną sumą pieniędzy przed paru laty, nie śmie jednak powiedzieć o tem gościowi, z obawy, żeby się nie obraził i nie „skarał” go. Ładny obrazek obyczajowy — ani słowa!

Zauważyliśmy powyżej, że większą część wiadomości o sprawach prowincjonalnych czerpie prasa warszawska z gazet miejscowych, okazują się jednak, że nawet o niektórych sprawach warszawskich można znaleźć informacje tylko w dziennikach prowincjonalnych. Oto np. *Dziennik łódzki* a zanim inne pisma donoszą o skandalicznej sprawie, którą sąd warszawski popatrywał jeszcze w dniu 4 czerwca, a o której dzienniki warszawskie milczą, bo niektóre w skazanym za kradzież straciły współpracownika. A my im tego nie wymawiamy, że „liczba ich przyrzucała się zmniejsza.”

J. Nieborski.

PRASA ROSYJSKA.

Moskowskija Wiedomości podają bardzo ciekawe wiadomości o położeniu prawosławia w guberniach lubelskiej i siedleckiej, które w wyjątkach, według *Gaz. warszawskiej* przytaczamy:

„Wydarzenia zaszły kilka miesięcy temu w Lublinie obudziły czynność ster zainteresowanych, które teraz mają otwarte oczy na to, co się dzieje. Naprawdę niektórzy usiłowali, że wydarzenia te były wymowne, przez gawiedź, niedającą sobie sprawy z położenia i nuddów tylko czepiającą się łada sposobności, było sobie szara jedynostajność uroczalich. Tak jest. W obu guberniach odbywa się, przy ciągłym współudziale i zabiegach ze strony jezuitów i panów, proces fermentacji, której ustawicznie objawy dają się dokładnie obserwować. Skoro tylko w Chełmie i Białej odbył się akt przywrócenia unitów do jedności z prawosławiem, wnet rozpoczęło się po kraju wżegznowstwo różnych *patryw*, przy pomocy miejscowych księży i panów. Ich to ustosunkomn zawziędcaś należy wytworzenie typu „opornych,” którzy nie chodzą do cerkwi prawosławnej i o jej obrzędach słyszeć nie chcą.

W roku 1878 w Łukowie urządził sklepik pruski poddany Otto Hausner, i niby to kupczy, rozsyłał z towarem swoich agentów po dworach na Podlasie. I cóś się okazało! Ci agenci to właśnie oni „oporni,” którzy chodzą po kraju a propagują katolicyzm, sam zaś Hausner tak się nie nazywa i na powór tylko handlem się trudni. Jest to ni mniej ni więcej tylko ojciec von Nositz-Jackowski, prowincjał zakonu jezuitów w Galicji, i trudni się nawracaniem unitów, odprawia im nabożeństwa katolickie, zapatruje w dokumenta ślubne i w metryki katolickie każdego, kto sobie tego życzy. Pewnego razu, na *szjeżdż* w Radzynie, dokąd przybył i „przewieblony” jezuit pan Jackowski, „pojmał go zandarmi. Liczni jego zwolennicy rzucili się, aby go odbić, ale nie zdolali tego dokonać, i pan Jackowski znalazł się niebawem w więzieniu w Siedlebach. Ale i tam był sobie wesoło, bo dożyłsi mu wszystkich aż nadto hrabia Zubiński i inni bogaci panowie z gubernii siedleckiej i lubelskiej. W dodatku więzienie to stało się istną szkołą, z której wyszedł później ełty szereg agitatorów. Byli nawet tacy, którzy broili umyślnie, aby dostać się do więzienia, i tam zetknąć się z Jackowskim, odbierali od niego instrukcje: co dalej czynić, jak prowadzić rozpoczęte dzieło, w przekonaniu, że wkrótce będą wypuszczeni na wolność, i tym sposobem z nową arseolą meczetstwa „za ojczyznę i świętą sprawę” tam skuteczniej agitować będą. Instrukcje Jackowskiego przyniosły

żniwo, które może jeszcze nie jest uprzątaite. Z pod jego feruły wyszli w całym stoie znaczenie wyborne wyczeni propagatorowie katolicyzmu wśród rosyjskiej ludności Zabuzja. Informowali oni, gdzie można znaleźć księży, którzy dadzą potajemnie metrykę krakowską. Jackowski był sądzony za to, że za cudzym pasportem przemieszkiał. Wyrok opiewał, że ma być odesłany do granicy: „Wrzucano za stółcia szepczaka w rzekę,” jak mówi Krylow w swej bajce. I odciechnięto przecie: „Na już nie będzie ani donosów, ani kłopotów i idzie będą ostrożnie.”

Tymczasem już w samej Warszawie pojawił się niebawem cały zastęp księży wyszkolonych przez jezuitów w agitacji wśród unitów. W r. 1880 na Koszykach wyspiewano księda, dającego śluby unitom i wydającego krakowskie metryki, których do tej pory znajduje się niemało u księży trudniących się propagandą. Administracja znów poczęła przysięgać, że to je dny taki ksiądz, który i tak, a reszta to ludzie oddani roszanom. Ale nagle rozchodzi się wieść o jakichś podróbach do Rzymu niejakego Frankowskiego, który nazwałby się *arsenal* instrukcyj, metryk itd. Wszadono więc Frankowskiego do turmy na 3 miesiące za... wyjazd bez pasportu.

Nic dziwnego, że przy takiej pobłażliwości, propaganda polsko-lacińska ciągle się wzmagała. Na prośbę Frankowskiego przysłano za granicę do Warszawy słynnego z pracy swej w Indjach jezuitę Franciszka Brajera. Przyjechał on do Warszawy i otworzył tam przy ul. Marszałkowskiej sklep winny, i niby to kupczak po dworach stara winę, wciąż jeżdżał po guberniach siedleckiej i lubelskiej, agitując i nawracając. Ale zbyt energiczne jego sukcesy zwróciły na niego uwagę, i był ujęty przez zandarmów w Sokotowie, gdzie propaganda polska mocno się krzewiła. Skołowianin odbił Brajera i przesiadził go za to w więzieniu po 2 i 4 miesiące. Owocem działalności Brajera był wyjazd deputacji do Rzymu Frankowskiego, który za powrotem aresztowany na granicy, zostany został do Kiriłowa w gub. nowogrodzkiej, skąd pomimo czynnego nadzoru policyj, zdolał uciec za granicę. Podrój Frankowskiego do Rzymu wśród obudobów ojczyzny przypisywano ogromne znaczenie. Skorzystał on z okazji, aby rozsiewać wśród ludu wieść, że religia głową w gub. siedleckiej i lubelskiej jest katolicka, i dlatego mianowane biskupów, a papier nie opuści wiernych unitów i niebawem nadesłane misjonarzy. Silni tym sukcesem, rozpoczęli tem większą agitację, wśród której odznaczył się „jaśnie wielmożny” Zubiński, bogacz, niedawno wydany z kraju przez rząd. Mieli oni skuteczną pomoc w osobie nowokrowanego biskupa Wnorowskiego, który był na zesłaniu za udział w powstaniu 1863 r., a teraz był w szczególnej przyjaźni z głównymi przedstawicielami władzy w gubernii. On sam nawet osobście chrzcił po katolicku dzieci prawosławnych itd.

Jednocześnie prawie w Lublinie prowadzi agitację znakomity w swoim rodzaju jezuita galicyjski Sz., który osiadł u pewnego obywatela niby jako gubernier, i przywiózł z sobą mnóstwo metryk podpisanych przez krakowskiego dziekana ks. Serwatowskiego. Celem działalności tak jego, jak i jego kolegów, była nie tylko propaganda katolicka na rosyjskim Zabuzju, ale związanie, skojarzenie ludności tułejkiej z krakowską. Jest rzeczą godną uwagi, że władza sądowna dokumentem tym, rozsiewanym wśród nas przez wrogów, przyznawała moc prawną, co wprowadzało tylko w błąd lud prosty, legalizując niejako działalność tych misjonarzy. Owemu Sz. domagali się władza biskupa Wnorowskiego i dominanci lubelscy. W ich to klasztorze wszystkie rzeczone obrzędy i sakramenta były dostępne dla unitów, którzy też tłumnie zewsząd tam dążyli. Władze lubelskie z razu wyprysnęły się, że tam nie się nie dzieje, ale czas Albońskiego miały, i całą organizację wykryły. Atoli nie w Lublinie, ale w Warszawie znajduje się ognisko tej propagandy jenieckiej. Tylko co dokonane odkrycia w klasztorze kamodul na Bielkach, przekonywały, że tak jest. Tutaj, w ce-

lach zakonników odbywały się śluby, chrzty i inne obrzędy. Teraz winni oo. kameduli zostali ujęci."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Z wystawy. Doroczna wystawa inwentarska i przedmiotów, mających związek z hodowlą, została już zamknięta. Nie dajemy z niej szczegółowego sprawozdania, gdyż nie przedstawia ona materiału do wniosków o stanie hodowli inwentarskiej u nas. W popisie przyjmuje udział ograniczoną i powtarzającą się corok bez zmian prawie w składzie swym liczbą wystawców. Właściwie wystawa stała się targowiskiem, na którym corocznie sprzedaje się za 60,000 rs. okadów, posiada ona tylko znaczenie specjalne.

Teatr. Towarzystwo pomadzińskie w Alhambrze wystawiło komedję p. Z. Przybylskiego p. t.: *Wioś i Wacek*, odznaczona na ostatnim konkursie.

Konkurs dramatyczny. Ten sam komitet, który niedawno sądził utwory nadesłane na konkurs imienia Wojciecha Bogusławskiego, ogłasza znowu nagrodę w kwotę 1000 rs. Im. A. Żółkowskiego — za najlepszy utwór dramatyczny, osnuty na tle współczesnym i posiadający warunki sceniczne. Utwory winny być nadesłane pod adresem redakcji *Gazety polskiej* przed 1 września 1897 r. Sędziami będą pp.: W. Bogusławski, J. Brzeziński, P. Chmielewski, D. Henkeli, J. Kęgla, W. Kretkowski, E. Leo, W. Szymanowski i J. Tarkiewicz.

Sprawy prasowe. W zeszłym tygodniu sąd okręgowy warszawski rozstrząsał aż 6 spraw o potwars i dyfamację, wytoczonych redaktorom kuryerów: *Porannego*, *Codziennego* i *Warszawskiego*. Z wyjątkiem jednego, w sprawach tych zapadły wyroki uniewinniające. Charakterystycznym jest, że redaktora *K. Porannego* skarżył o dyfamację oszust, który na śledztwie sądownym okazał się t. zw. złodziejem pobytowym, kilkakrotnie karany i niemającym prawa mieszkać w Warszawie.

Obustronizacja. Z powodu uchylenia się żydów od powołania wojskowej wydane zostało rozporządzenie, na mocy którego rodzina każdego zbiegłego rekruta zapłaci 300 rs. kary, kto zaś wskazywał lub schwyta żyda, ukrywającego się od służby wojskowej, otrzyma wynagrodzenie pieniężne, stosownie do uznania ministra spraw wewnętrznych.

Muzeum przemysłu i rolnictwa urządził w jesieni wystawę wyrobów przemysłu krajowego, służących do urządzenia i ozdoby mieszkań.

Wynalezienia. Od 1873 do 1884 roku sprzedano w Galicji w drodze przymusowej 12,449 osad włościańskich, 9,046 gospodarstw przeszło w ręce żydów. Po co to tak walczyć kolonizacyja, kiedy za lat kilkadziesiąt i dziś i tacy wykupia ziemię! Niezależnie raczej myśleć o wzroście przeciwnych środków, jak np. o wydaniu prawa, zabraniającego nie-włocianom kupować grunty chłopskie.

Bibliografja. Projekt *ustawy ziemiełniczej*, wydany przez Oddział warszawski Towarzystwa popierania przemysłu i handlu.

— K. Brodziński, *Wiesław*. Wydanie osobne w folio, z ilustracyami Juliusza Kossaka. Wstęp krytyczny i życiorys Brodzińskiego napisał Marjan Gawarewicz.

— *Sprawozdania meteorologiczne* za miesiąc luty i marzec.

— Wacław Nakowski. *Uwagi krytyczne do mapy ogólnego Królestwa Polskiego*.

Nagroda. Wiedeńska Akademia umiejętności udzieliła nagrodę, przyznawaną co 3 lata za prace, które najbardziej pomyślnie postęp nauk fizyczno-matematycznych — prof. Z. Wróblewskiemu z Krakowa.

Diady Mickiewicza przełomione zostały na język angielski przez p-oę Biggsa.

Towarzystwo historyczne zawiązuje się we Lwowie z inicjatywą prof. Lisieckiego, składają je przeważnie uczołowie tego uczoności. Towarzystwo zająć się ma głównie badaniami dziejów Rusi Czerwonej i zamierza wydawać pismo p. t. *Przegląd historyczny*, poświęcone sprawozdaniom z ruchu na polu dziejznawstwa.

Wędrowny prelegent. P. Janikowski objechał z oddziałami swymi wszystkie miasta w Królestwie, był

już w Plocku, Lublinie, Sieradzu, teraz przemawia w Kaliszu, wkrótce więc ogół nasz lepiej znać będzie Kamerun, antylei kraj własny.

Granice. dozwolonej głupoty przekroczyli obywatele z okolicy Jarmolince, w gub. podolskiej, którzy w tem miasteczku zakładają — towarzystwo wysiłków konych.

Emigracya. W r. z, osiedliło się w Rosyi, przeważnie w guberniach zachodnich, 164,000 Niemców. Kolonizacji najchętniej nabywają grunty w gubernii włońskiej.

Zmarli. Jan Juszkiewicz, filolog, autor wielkiego *Słownika języka litewskiego*, nagrodzonego przez Akademię nauk w Petersburgu, ale niewydrukowanego dotychczas.

— Anna Libera, znana w piśmniculstwie pod imieniem Anny Krakowiak. Przed 1846 r. przyczyniła się wielce do rozbudzenia życia umysłowego w Krakowie, utworzy już wówczas cieszyli się wielkimi powodzeniem, później zapomniano o nich. Poezyje jej wyszły w 1842 i 1846 r., z większych rzeczy napisała poemat *Malgorzata z Żelazowa* i dramat p. t. *Jadwiga*

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

U. e VII. 1) W języku polskim tylko Trejdosiewicz; 2) wydanie drugie nie pokryłoby może nakładu.

P. W. W. w Pz. Kiedy sam wiersz jest dosyć pośledniego gatunku i zawiera zwykłe klitwy psymitacyjne.

Edkicmu. Postaramy się zżytkować.

S. G. Nad kwestyja tą *Pravda* zastanawiała się już szczegółowo przy sprawozdaniu z dzieła Romaneśa.

Br—u to *Peł.* Odpowiedzieliśmy listownie.

Ig. S. Stara historia w starych ramach.

Ogłoszenia.

Komisya wyznaczona na Ogólnem zgromadzeniu Członków Warszawskiego Towarzystwa opieki nad zwierzętami, odbytem w dniu 28-go maja r. b. dla przejrzania instrukcyi wewnętrznego postępowania i ułożenia nowego projektu regulaminu dla Zarządu, najprzejmiej prosi wszystkich pp. Członków Towarzystwa, aby raczyli nadsłać swoje uwagi i zdania względem wspomnianej instrukcyi, najpóźniej do połowy sierpnia r. b. na imię rzeczonoj Komisji, do kancelaryi Zarządu Towarzystwa (Warszawa — Leszno, Nr 2).

Członkowie Komisji:

M. Kasimierzowski, L. Frindt, J. Starzyński.

Wielki medal srebrny.	LAKIERY i FARBY	Cemnik franc. i galis.
	polecają	
	ZAKŁADY PRZEMYSŁO-CHIMICZNE	
	W. KARPINSKI & W. LEPPERT w Warszawie, Elektoralna 37.	

13—24

NIZINY

powieść

Elizy Orzeszkowej

wydanie ozdobne, z ilustracyami E. M. Andriollego.

Cena rubel jeden.

Nakład Autorki, do nabycia we wszystkich księgarniach.

SPÓŁKA NAKŁADOWA

poleca następujące wydawnictwa swoje:

Chmielewski Piotr dr. Autorki Polskie wieku XIX, studjum literacko-obyrazowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 rs. 2 kop. 50.

Jerzy Brandes: Główny prąd literatury europejskiej XIX w. Tom V. Szkoła romantyczna w Francyi, z portretem autora str. 402 rs. 2.

Herbert Spencer: Zasady etyki, z 3-go wydania oryginalna angielskiego, przełożył Jan Karłowicz rs. 2.

Świątko. książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono wybitnych pisarzy polskich, w ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tłoceis rs. 1 kop. 80

Stanisław Kramczyk: O postaci i ciężarze ziemi kop. 50.

Nabywający dzieła powyższe w kantorze Spółki (Zielna 7-A) kosztów przesyłki nie ponoszą.

W Administracyi Prawdy nabyć można:

J. Brandesa

Główne prądy literatury XIX-go wieku.

Tomy: I, II, III po rs. 1 k. 50^{ty} tom IV rs. 2, razem rs. 6 (z przesyłką).

Tom V, zawierający Szkołę romantyczną w Francyi, (z wydawnictwa Spółki Nakładowej) rs. 2.

BOLESŁAWA PRUSA

(Aleksandra Głowackiego)

SZKICE i OBRAZKI

tomów 4, z portretem autora

Całość rs. 5, każdy tom pojedynczo rs. 1 kop. 50.

Tom pierwszy zawiera utwory następujące:

Nowy rok. — Żywy telegraf. — Na wakacyach. — Kocha nie kocha? — Katarzyna. — W Górach. — Kainreka. — Cienie. — Pomieję. — Przeklećcie. — Przy kaletcu. — Milknące głosy. — Stara bajka. — Pleć światła.

Tom drugi:

Orestes i Pylades. — On. — Podwójny człowiek. — Na pogrzebie. — Echa muzyczne. — Pan Dudkowskiego i jego folwark. — Grecy daleczni.

Tom III: powieść p. t.: „Anielka.” (Chybiona powieść).

Tom IV: powieść „Dusze w niewoli.”

Przysyłający pieniądze bezpośrednio do kantora Spółki kosztów porta pocztowego nie ponoszą.

SPÓŁKA NAKŁADOWA.

Zielna 7-A.

SPÓŁKA NAKŁADOWA wydała studjum etnograficzno-społeczne W. Smoleńskiego p. t.:

DROBNA SZLACHTA

W KRÓLESTWIE POLSKIM.

Cena kop. 60.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdym opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDX. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.